PANI



Nr. 8–9 SIERPIEŃ – WRZESIEŃ

CENA 5 ZŁ

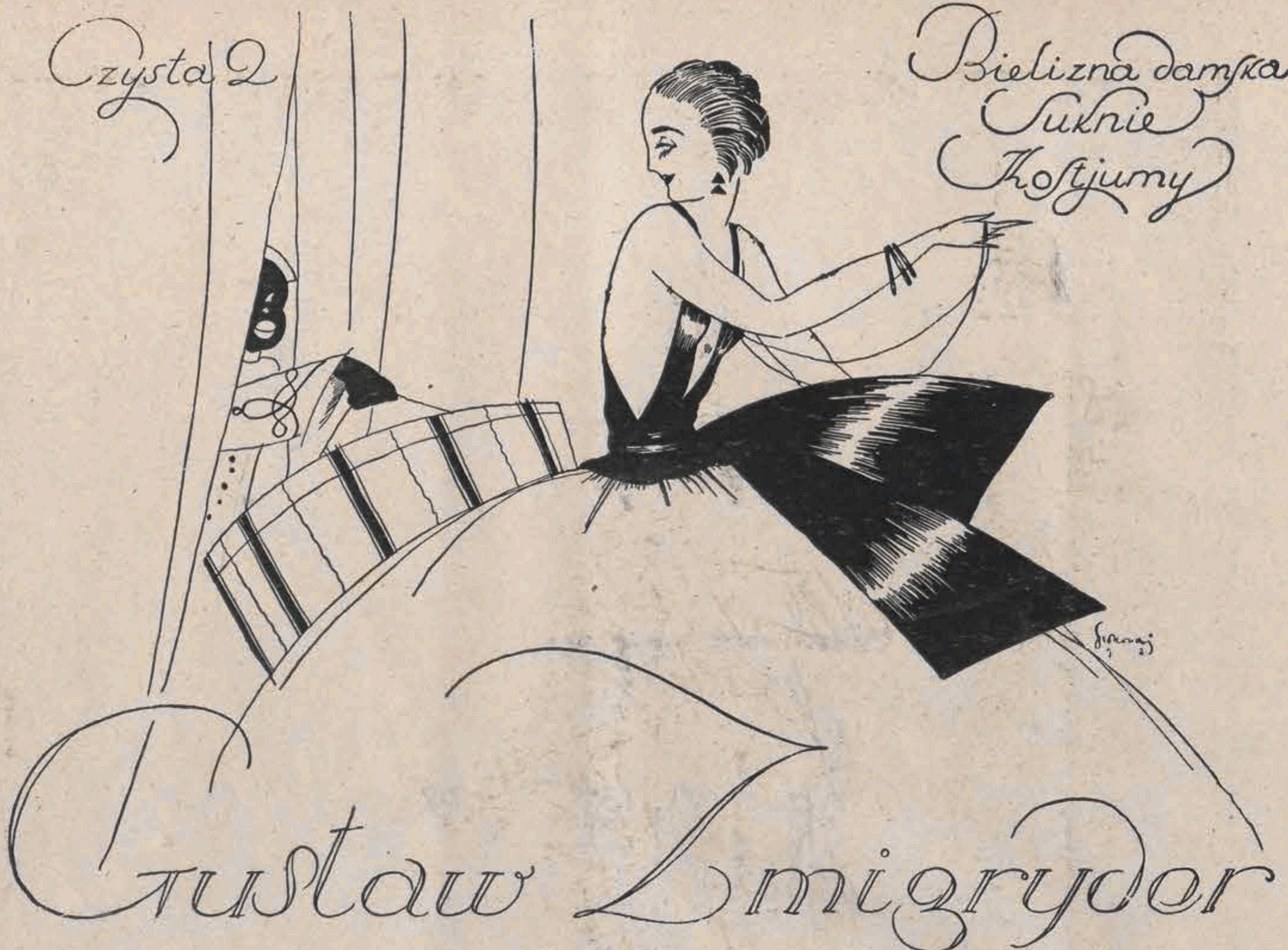

SUKNIE
KOSTJUMY
OKRYCIA
Lucyna
WARSZAWA * BODUENA * № 2
T. G. 1923.

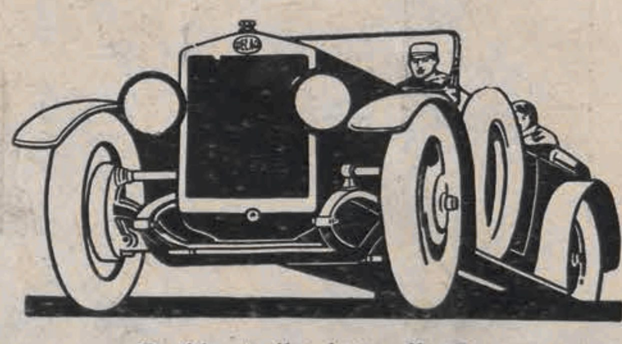


CUKIERNIA

ZIEMIAŃSKA

WARSZAWA — MAZOWIECKA 12





Rapide et silencieuse elle passe:
c'est une DELAGE

Automobiles
DELAGE
P A R I S

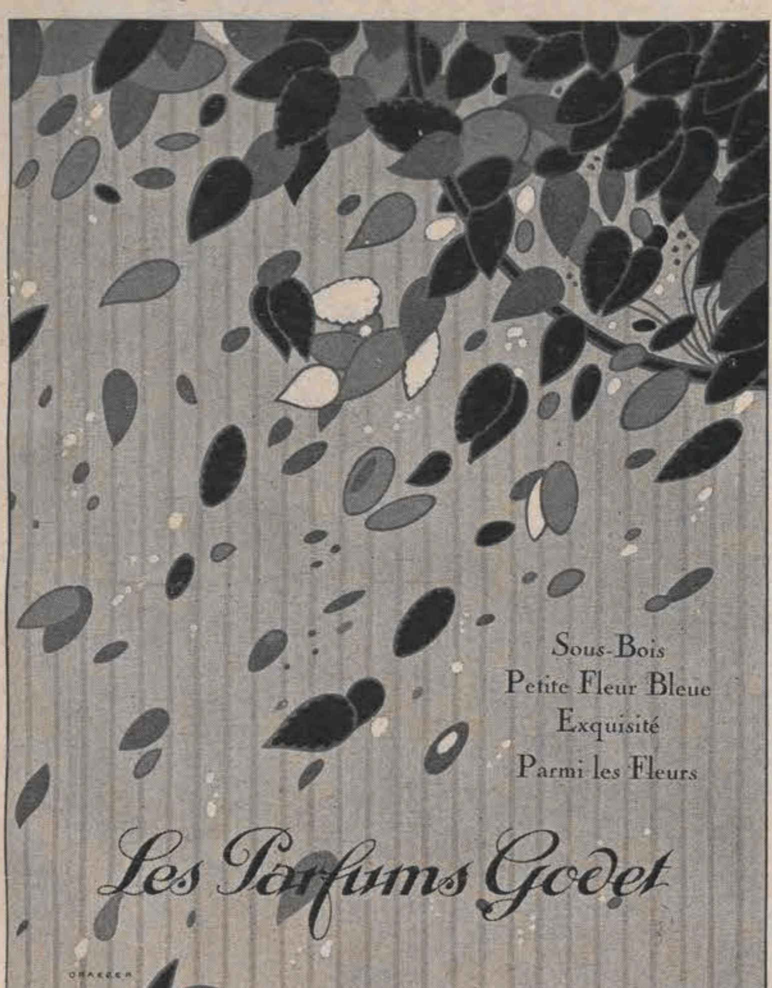
Jeneralne Przedstawicielstwo
na Rzeczpospolitą Polską:

ZACHODNIE TOWARZYSTWO
DLA HANDLU I PRZEMYSŁU,
SP. AKC.

Salon Wystawowy: Senatorska 26.
Biuro Sprzedaży: Senatorska 10. Tel. 290-91.


J.Z.
PLA
KAT




Sous-Bois
Petite Fleur Bleue
Exquisité
Parmi les Fleurs
Les Parfums Godet



PRZYBORY DO PODRÓŻY
WYKWINTNA GALANTERJA

*

JENERALNA REPREZENTACJA
FABRYKI OBUWIA
SPORTOWEGO

Manfield
& SONS LTD
NORTHAMPTON

*



WARSZAWA
KRAK·PRZEDM 10
NOWY·SWIAT

ZAKOPANE

TWO KOMISPOL·S·A
ARTYKUŁY SPORTOWE

PANI

PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE I ESTETYCE ŻYCIA

Nr. 8—9 SIERPIEŃ—WRZESIEŃ 1924 ROK III



JANOSIK Z KOCHANKĄ DRZEWORYT WŁ. SKOCZYLASA



JAN KASPROWICZ

HEJ! WARA WAM

1.

Zjawili się Dunajczanie
W tym poronińskim kościele,
Na mszę się zjawili poranną
W same zapusty, w niedzielę.

2.

Hej! dzwonią na „Magnifikas",
Lud na kolana pada:
„Broń-że nas, Panie Boże,
Od wroga i od sąsiada".

3.

„Od wroga i od sąsiada
Broń-że nas, Panie Boże,
Albo też Poroniniec
Sam się obronić może".

4.

Ledwie to pomyśleli,
A patrzcie! Kogo tu wiodą?
„Rozstąpmy się przed orszakiem,
Przed panną rozstąpmy się młodą.

5.

Rozstąpmy się przed drużkami,
Przed drużbą i przed starostą,
Niech drogę do stopni ołtarza
Mają wygodną i prostą".

6.

Ujrzeli to Dunajczanie
I wielka w nich złość zawrzała:
„Będzie mieć dzisiaj za swoje
Ta, patrzcie, kompanja cała!

7.

„O nasza to jest dziewczyna,
Jeno że ród nasz tak plami,
Wychodzi za Poronińca,
Gardzi Dunajczanami.

8.

A te jej panny druhniczki
Pewnie to samo uczynią,
Pomścimy się na weselu,
Za tą kamienną świątynią".

9.

Wtargnęli na weselisko
Zuchwali Dunajczanie:
„Choć my tu nieproszeni,
To cóż nam złego się stanie?'

Z MOTYWÓW PODHALAŃSKICH

DUNAJCZANIE

10.

Podeszli do Kuby Chowańca
Bulejkowego syna:
„Odstąp nam tanecznicę,
To nasza jest dziewczyna".

11.

Podeszli do Jaśka Orawca,
Groźnie spojrzeli mu w lice:
„Nasza to jest frajerka,
Odstąp nam tanecznicę!"

12.

Podeszli do starosty,
Pana Krwawego Marduły,
Co w tańcu pannę młodą
W uścisk zamykał czuły:

13.

„Wara ci, wara, starosto,
Od nas ta panna młoda!
A zresztą wam Poronińcom
Każdej dziewczyny szkoda "

14.

„Wara wam, Dunajczanie,
Od panny młodej wara!
Wara wam od jej drużek
Chyba że wiecie, że kara.

15.

Wszczęła się wielka bitwa
Dunajczan z Poronińcami:
Butelki latają w powietrzu,
Podłoga krwią się plami.

16.

Kobziarz Mróz wydął policzki,
Że aż mu pękła koza,
Lat siedemdziesiąt nie widział,
By mogła być taka groza.

17.

Basista potrzaskał basy,
Skrzypeczki dwaj skrzypiciele,
Uciekli precz Dunajczanie,
Przeklęli całe wesele.

18.

A drużki Dunajczanki
Złożyły ślub w tej godzinie
Że wyjdą tylko za wolnych
Harnasiów w Poroninie.

Zakopane. Harenda 2.II.1924.





Zakopane przed czterdziestu laty

Dzisiejsze Zakopane, cieszące się opinją „letniej stolicy Polski“, a Zakopane dawne, z przed lat czterdziestu, to dwa odrębne światy, jakby z innych planet. Kto dziś jedzie z Warszawy do Zakopanego sleepingiem bez przesiadania po drodze, tak, iż, wyjechawszy wieczorem ze stolicy, nazajutrz przed południem już oddycha ożywczem powietrzem zakopiańskiem, ten nie ma wyobrażenia wogóle, jaka w tem zgiełkliwem Zakopanem obecnem panowała atmosfera sielskiej patrjarchalności.

Przedewszystkiem była ówczesna dolina pod Gewontem poza obrębem wieku pary i elektryczności. Jeździło się do Zakopanego furą z samego Krakowa, gdzie, od pierwszych dni czerwca począwszy, większa część rynku Kleparskiego bieliła się płótnami t. zw. budek góralskich. Tam po raz pierwszy widziało się górali w serdakach, w grubych filcowych czarnych kapeluszach z „kostkami“, t. j. białemi muszelkami, w obcisłych portkach z białego włochatego sukna z niebiesko-czerwonemi lampasami i wyszyciami, w skórzanych kierpcach na nogach, z fajeczkami w ustach. Był to widok dla warszawiaków zwłaszcza tak nowy, że targując się z furmanami o cenę wozu do Zakopanego, czynili to w sposób sielankowy raczej, niż kupiecki. Wszak dotąd znali tylko niewierne kopje górali z Moniuszkowskiej „Halki“.

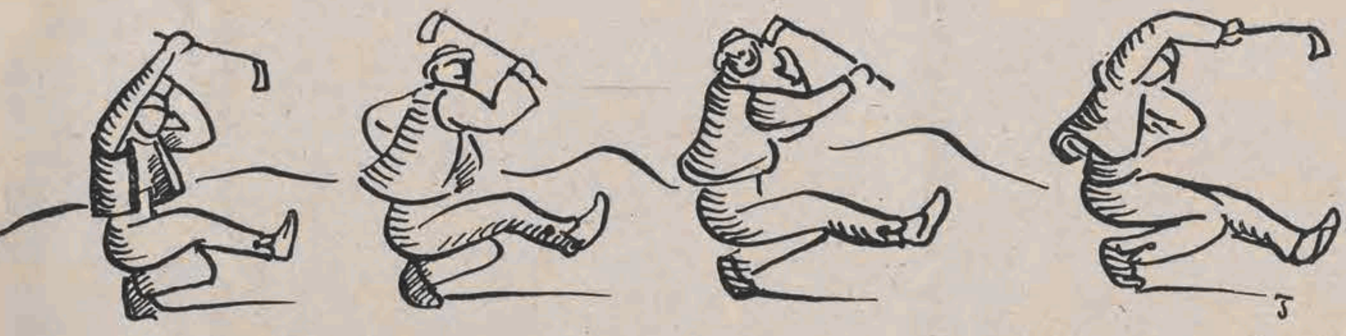
Z Krakowa wyjeżdżało się skoro świt, a minąwszy Mogilany, jechało się szosą, wijącą się wśród malowniczych Beskidów, przez cały dzień aż do wieczora. Nocowało się w Zaborni lub w Nowym Targu, i tu i tam w żydowskim zajeździe, w którym nocleg bez perskiego proszku nie należał do najmniej awanturniczych. W Zakopanem stawało się dopiero drugiego dnia około południa. Gdy się nie miało wynajętego mieszkania, zajeżdżało się do t. zw. „hotelu“ Riegelhaupta; była to zwykła karczma, z pokojami sąsiadującemi z oborą i stajnią.



Mieszkało się po sielsku, w chatach góralskich, odznaczających się wysokiemi progami u niskich drzwi i małemi oknami o czterech lub sześciu kwadratowych szybkach. Poprzestając na dwóch przedzielonych sienią izbach, w zimie będących mieszkaniem *gazdy*, a tylko na lato odnajmowanych „ceprom“ (t. j. gościom z dolin), z konieczności zadawalniano się najpierwotniejszem umeblowaniem ludowem (ale za to w „stylu zakopiańskim“), pocieszając się tem, że jeśli drewniane łóżka były krótkie i wąskie, a sienniki twarde, to za to nad łóżkami wisiało mnóstwo świętych obrazów.

O ile nie prowadzono kuchni w domu, stołowano się „u Sieszki“ w świeżo wzniesionem *Kasynie* czyli *Dworcu tatrzańskim*, lub „u Kościeszy“, którego restauracja znajdowała się w zwykłym domku góralskim na rogu ulicy Nowotarskiej: w jednej izbie była tu sala jadalna, mogąca przy czterech stołach pomieścić do 30 osób; druga nazywała się cukiernią, bo w niej stał bufet z ciastkami i półka z kilkoma flaszkami rozmaitych wódek. Usługiwał sam p. Kościesza, który miał wszelkie warunki po temu, ażeby być przystojnym kelnerem (prowincjonalnym), gdyby nie fatalna czerwoność jego regularnego, bardzo rasowego nosa. Z przyległej kuchni dochodził altowy głos pani Kościeszyny, srogiej *hic mulier*, przed którą drżeli kucharz i cukiernik, co zresztą i o samym p. Kościeszy powiedzieć było można.

O strojach wówczas nikt nie myślał: panowie chodzili w serdakach i gumowych płaszczach, z *ciupagami* zamiast lasek; panie przeważnie nosiły się po góralsku, w jaskrawych chusteczkach na głowie, w perkalikowych spódniczkach, w serdakach zamiast gorsetów. Zakrawało to cokolwiek na maskaradę, ale że ładnym paniom, poprzebieranym za góralki, bardzo z tem było do twarzy, więc moda ta zyskiwała ogromnie dużo zwolenniczek, szcze-



gólniej wśród nadobnych warszawianek. W takich strojach chodziło się po domu i na ulicy a nawet tańczyło się na niedzielnych reunionach w Kasynie, na które wszyscy przychodzili w ubraniu „spacerowem". Niezrównanym wodzirejem był p. Szukiewicz, znany kupiec z Krakowa, ojciec Wojciecha i Macieja Szukiewiczów.

O wizytach nie było mowy, ile że wizyty, zwłaszcza ceremonjalne, wcale nie licowały z czysto wiejskim sposobem życia, całkiem wolnego od krępujących więzów stołecznej etykiety.

Za to, nie zważając na niewygody, na brak wszelkich ułatwień, robiono dużo wycieczek w góry.

Wprawdzie istniało już Towarzystwo Tatrzańskie, ale mimo to trwały jeszcze Tatry w stanie prawie dziewiczym — wygodnych ścieżek, łańcuchów lub klamer w niebezpiecznych miejscach, a tembardziej schronisk z jakim takim komfortem nie było żadnych. Jedyne schronisko znajdowało się przy Morskiem Oku, ale i ono nie miało nic wspólnego ze schroniskami szwajcarskiemi, a nawet węgierskiemi po drugiej stronie Tatr: była to spora szopa o dwóch izbach, w których sypiano na tapczanach, na siennikach i poduszkach, wypchanych mchem, kosodrzewiną i wiórami. Gdy się zgromadziła większa liczba osób, mężczyźni musieli spać na strychu, a gdy i tam zabrakło miejsca, w kosodrzewinie nad jeziorem, razem z góralami. Wogóle noclegi pod gołem niebem przy rozpalonej w a t r z e nie były czemś nadzwyczajnem; przeciwnie, gdy się na parę dni szło w góry, należały do rzeczy zwykłych.

Samo Zakopane miało charakter rozległej wsi. Sklepów było dwa czy trzy, naturalnie żydowskie, ale naprawdę był tylko jeden, Riegelhaupta, u którego dostałeś wszystkiego, począwszy od papieru listowego i galanterji, a skończywszy na wędlinach i pieczywie. Poczta, pod zarządem p. Fingera i przy współpracownictwie jego dwóch córek (płowych blondynek), mieściła się w parterowym domu drewnianym na Krupówkach, a listy i telegramy roznosił góral Kuba, który, o ile zawsze chodził boso (nawet przez Zawrat), o tyle nie umiał czytać. Mimo tak małych kwalifikacyj na „bryftregera" wywiązywał się jakoś z zadania, ci bowiem, dla których miał listy, wszyscy umieli czytać, więc sami sobie wybierali adresowane do nich listy i gazety.

Choć dróg bitych nie było żadnych, nikt się nie skarżył na ich brak, podobnie, jak nikogo nie raziły prawdziwie egipskie ciemności, nie rozjaśnione w całem Zakopanem ani jedną latarnią. Gdy zapadła noc, a nie świecił księżyc, chodziło się z latarkami.

Pomiędzy góralami a gośćmi panował stosunek sielankowy: nikomu nawet przez myśl nie przeszło (warszawiakom zwłaszcza), ażeby n. p. posądzać ludność miejscową o chciwość, o chęć wyzysku; bratano się z gazdami, jak z równymi, a znajomych przewodników sadzało się na honorowem miejscu, częstowano winem, cygarami. Należało podziwiać takt, z jakim górale umieli się zachowywać w takich razach.

Już ta wogóle idyliczność i patrjarchalność cechowały ówczesne życie zakopiańskie. Wszędzie i we wszystkiem panowały prostota i prymitywność. W Jaszczurówce naprzykład, do której droga prowadziła przez mokre łąki, kąpano się w dwóch małych basenach, ledwo skleconych z desek; ściana zaś, przegradzająca oddział męski od damskiego, obfitowała w mnóstwo szpar i dziur od sęków. W Kuźnicach, gdzie jeszcze funkcjonowały n a m t y, kując poruszanemi siłą wodną młotami, była stara murowana karczma, dzierżawiona przez węgierskiego żyda, a choć droga do Kuźnic przez las dostarczała aż nadto okazyj do wytrzęsienia się na wózku, mimo to karczmarz robił doskonałe interesa na amatorach kawy z cykorją, przestałego piwa nowotarskiego i rzeczywiście znakomitego ementalera.

Gdy doktór Chałubiński jeszcze był zdrów i rześki, posiadało Zakopane urok, o jakim nie mają wyobrażenia ci, co tych czasów nie pamiętają.

Już sam przyjazd „Króla tatrzańskiego" był uroczystością dla wszystkich, dla górali zarówno, jak i dla gości. Chałubiński przyjeżdżał zawsze do Zakopanego na początku lipca, w dniu zaś, na który było jego przybycie zapowiedziane, kilkudziesięciu młodych górali jechało konno w odświętnych strojach parę wiorst na powitanie „pana profesora", tak, iż przez całe Zakopane aż do swego

domu jechał z eskortą, wśród radosnych okrzyków, wśród strzałów na vivat z pistoletów, często wśród salw z moździerzy. Goście na widok tego malowniczego orszaku powiewali czapkami i chustkami, jakby mu starym słowiańskim zwyczajem wołali: „A witaj że nam, witaj, miły hospodynie!" On zaś kłaniał się z powozu na wszystkie strony swym słomianym kapeluszem, rozpromieniony, szczęśliwy, uśmiechnięty i kontent, że znowu jest w swem ukochanem Zakopanem, w tych swoich pięknych Tatrach, których nikt nie miał równego prawa nazywać swojemi, jak on!...

Potem widywało się go jeżdżącego bryczką po ulicach, zawsze w serdaku i słomkowym kapeluszu; a gdy się zdarzyło, że szedł pieszo, to nigdy sam; bo jeśli nie szedł z Wojciechem Rojem lub Sabałą, to go otaczała gromada górali, z którymi nigdy nie brakło mu tematu do przyjacielskiej rozmowy. Czasami spotykało się go z jaką zapłakaną gaździną, z którą szedł do jej chorego męża lub dziecka; ale bywało i tak, że go się spotykało w towarzystwie najwybitniejszych jednostek naszego społeczeństwa, szczególniej z bracią artystyczną, do której zawsze miał nieprzeparty pociąg. Pamiętam jedno lato—było to w roku 1883—kiedy go widywałem asystującego Modrzejewskiej, spacerującego z młodocianym Paderewskim, z księdzem Stolarczykiem (którego tymczasem wszystkie przechodzące baby całowały w rękę), z arcybiskupem Stablewskim, z Sienkiewiczem.

Gdy wychodził na wycieczkę w góry, całe Zakopane nie mówiło o czem innem; wycieczki bowiem, takie, jak je urządzał Chałubiński, miały w sobie coś romantycznego i epickiego zarazem. Przedewszystkiem nie odbywał ich nigdy w małem towarzystwie, lecz conajmniej w kilkanaście osób, z 20-ma lub 30-ma góralami ze starym Sabałą na czele.

Wybierano się z całym obozem, z namiotami, rondlami, samowarami, kocami, etc., a nadewszystko z muzyką, z basetlą, z kobzą, z kilką skrzypiec, ze słynnym (do dziś dnia żyjącym) Obrochtą, jako pierwszym skrzypkiem całej kapeli. Prowadził Jędrzej Wala, Maciej Sieczka, Szymek Tatar, Wojtek Roj, Wojciech Ślimak (który był golibrodą Chałubińskiego) i Sabała, który przez całą drogę przygrywał na swych gęślikach, przyśpiewując jednocześnie. Za nimi szedł Chałubiński z całem towarzystwem, niekiedy i w towarzystwie żony, którą górale nieśli w specjalnie ad hoc urządzonym fotelu, jakby w lektyce; w tyle zaś, za „państwem", szli „chłopi" z workami na plecach, wypchanemi żywnością i zapasową odzieżą, z kotlikami i ciupagami w ręku.

Takim taborem zapuszczano się w góry, wdzierano się na najniedostępniejsze szczyty, rozkładano się nad brzegami jezior, a że z „panem dochtorem" nigdy nie wychodziło się na krócej, niż na kilka dni, więc i nocowano pod gołem niebem, w kosodrzewinie lub w lesie, przy świecącym księżycu lub gwiazdach, a niekiedy pod powałą chmur, „siąpiących" drobnym i przenikliwym „kapuśniaczkiem".

Ci, co brali udział w tych wycieczkach Chałubińskiego, nie zapomną o nich do śmierci! Zwłaszcza nie zapomną tych noclegów przy rozpalonem ognisku. Gdy jeszcze na spanie było zawcześnie, zabawiano się w ten sposób, że albo Sabała, rzępoląc na gęślikach, opowiadał o dawnych zbójnickich wyprawach, albo górale tańczyli „zbójnickiego", oczywiście przy wtórze całej kapeli, albo Obrochta grał na skrzypcach, a jeden i drugi śpiewał piosnki góralskie:

Oj, góry nase, góry,
Oj, hale, nase hale,
Kto was zna tak dobrze,
Jako my górale!

Wszystko to, na tle ciszy nocnej, pod roziskrzonem gwiazdami niebem, nastrajało romantycznie, miało nieporównany urok!

Warszawa, 15 stycznia 1924.

FERDYNAND HOESICK





DOJAZD DO ZAKOPANEGO

(Z „ćwiczeń stylistycznych")

W wagonie duszno. Niechętnie podnoszę rozklekotaną rytmicznem turkotaniem głowę. W promieniu—ledwie iż go kawałek widzę przez rozrzewnione powieki—trzepią się przelotne pyłki. I duszno wciąż, nie mogę oddychać.

Wszystko — włosy, powieki, serce — zdaje się zakurzone całonocną drogą. Napół jeszcze snem napełniona tęsknota gna do okna. Spojrzeć na dworze roześmiane.—I oto nim jeszcze potrafię ramę okienną — szerokie to jak lustro hetery — odciągnąć ku dołowi—to, co biegnie za oknami zdaje się jakiemś gronem zielono ubranych dzieciaków. Wzgórki — może o tem pisało Pismo Święte?—pląsają radośnie, a zielone są jak... no, do czegoto porównać to, co samo już jest najśmielszą metaforą?

A potem wpada p zez okno (wraz z wzmożonym tętentem tętna pociągu) wiew mający coś w sobie z lodu, z alkoholu, z zieleni i z kryształowej przejrzystości. Tylko, że mięszanina ta nie upaja jak alkohol, oszałamia raczej jak piosenka wzruszająco prosta.

Bo są takie momenty: parę nut nagle uderza do głowy, zawraca ją, wzbudza wszystkie minione najskomplikowańsze dźwięki i alkohole, i nagle krystalizuje się jak życie całe w dwuch śmiesznych kroplach zawieszonych na rzęsach. To samo pierwszych parę powiewów powietrza podhalańskiego.

Wychylam się z okna i oto: jest ten wał siny, wieczny, wzruszający swą dobrotliwą powagą. Już są one, góry, Tatry, najpiękniejsze na świecie. A pociąg zwalnia, sapie, węszy, a brzegiem drogi biegną jakieś barwne płatki: nie rozpoznasz, czy to jastruny kwitną, poziomki dojrzewają, czy góralskie dzieci machają zielonemi witkami.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ



O MUZYCE GÓRALSKIEJ

Przed kilkudziesięciu laty, w epoce „odkrycia" Zakopanego, pierwsi inteligentni przybysze z „nizinnej" Polski tak byli oczarowani plastyczną wyobraźnią górali w zakresie zdobnictwa i stroju, ich niechybnem poczuciem stylu architektonicznego, bogactwem i subtelnością języka, wreszcie poetycką treścią Mitu, iż o ich muzyce i tańcu, tak niezmiernie charakterystycznym i barwnym, nieomal zupełnie zapomnieli.

W przepysznych swych książkach o Zakopanem i Tatrach Stanisław Witkiewicz zrzadka tylko wspomina o śpiewie, muzyce i tańcu. Są one dla niego raczej szczegółem obyczajowym, lub barwną plamą krajobrazu, jak np. niezrównany opis „Zbójnickiego", lub tańczącego nad przepaścią juhasa („Na Przełęczy"); czasem zaś subtelną psychologiczną obserwacją, wiążącą się przeważnie z dziś już mityczną prawie postacią Sabały.

Kazimierz Tetmajer w niezrównanych swych arcydziełach „Na Skalnem Podhalu" oraz w „Legendzie Tatr" poświęca więcej miejsca opisom muzyki i tańca ze względu na obyczajowe lub legendarne tło swych książek; a jakiż lud jest bardziej organicznie związany z tańcem swym, (będącym już w różnorodności swych form nieomal „czystą sztuką") — jak Podhalanie! Są w tych książkach cudowne poetyckie obrazy, plastyką swą sięgające już do wyżyn wizjonerstwa („Jak dziwnego Juhasa zatańcowało").

Oczywiście jednak, w prześlicznych tych poematach nie było miejsca na suche analityczne roztrząsania pozytywnych właściwości podhalańskiej muzyki.

Dawniejsze notowania tych melodyj (o ile się nie mylę Oskara Kolberga i innych a nadewszystko J. Kleczyńskiego) — o ile je znam, nie wzbudzają we mnie — muszę wyznać — głębokiego zaufania. Porównując je z oryginałami, z żywą przez górala gdzieś na hali śpiewaną pieśnią, lub nutą taneczną w wykonaniu góralskiej kapeli Bartka Obrochty, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, iż są te notowania — mówiąc po zakopiańsku—zlekka „zceprzone", a więc obłaskawione, pozbawione oryginalnej dzikości, podciągnięte jakby pod szary strychulec niepotrzebnie zazwyczaj „zminoryzowanej", nieco sentymentalnej „pieśni ludowej".



Jest to o tyle zrozumiałe, iż skale, na których się opiera przeważna ilość oryginalnych pieśni góralskich, wybiegają daleko poza zakres naszej „kulturalnej" temperowanej gamy, sięgają też, jakeśmy to niejednokrotnie stwierdzili z profesorem Adolfem Chybińskim, odległej starożytności i z trudnością dają się wyrazić w naszym tonalnym systemie.

W ostatnich dopiero latach grono ludzi fachowych i zamiłowanych w góralszczyźnie zabrało się z całą energją do ratowania od ostatecznej zagłady — niestety! powiedzmy już resztek tak niegdyś bogatej i oryginalnej muzyki Podhala. Jest to zaprawdę ostatnia chwila, bowiem „wynarodowienie" górali, zanik ich rodzimej sztuki, zwłaszcza w Zakopanem, postępuje z przerażającą wprost szybkością. Zaczyna się to od stroju: — znikła już niemal z ramion młodszych górali tak prześliczna w kroju „cucha", coraz więcej na nich „szkaradnych" bluzek i kamizelek koloru "khaki". Kierpce występują tylko od parady, na weselach, do tańca. Jedynie jeszcze „cyfrowane portki" i serdaki wytrwały dzielnie na stanowisku. Co gorzej jednak, co raz więcej słyszy się na weselach obrzydłych walczyków i polek, niemożliwych wprost do zniesienia w wykonaniu góralskiej kapeli, nie jeden z młodych chłopców zatańczyłby już i „shimmy", płaska zaś „dólska" nuta uparcie i wytrwale stara się wyrugować przedziwne — wytyczne niemal w swym archaicznym wyrazie „Wirchowe", „Sabałowe", „Ozwodne", które w nietkniętej, tradycyjnej formie przechowuje, jak skarb bezcenny, jedyny dziś duchowy spadkobierca i dziedzic Sabały—stary Bartek Obrochta z Kościelisk.

Jednakże „Pogotowie ratunkowe" podhalańskiej muzyki pracuje wy-



trwale i, co ważniejsze, z olbrzymim zasobem wiedzy. Prof. Adolf Chybiński na letnich wywczasach przebiega nieumęczenie wsie z notatnikiem i ołówkiem w ręku, czasem zaś nawet uzbrojony w recepcyjną trąbę fonografu [1]). Zebrany przez niego materjał jest iście olbrzymi, a autentyczność jego nie podlega najmniejszej wątpliwości. Pan Juljusz Zborowski, kustosz Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem, istna encyklopedja śpiewanych tekstów, zamknął w szafce w gabinecie swym w Muzeum w systematycznie ułożonych zeszytach cały nieledwie poetycki dorobek Podhalan. Wreszcie, w ostatnich latach, powstało jeszcze jedno dzieło niezmiernej wagi dla dziejów polskiej muzyki ludowej; jest nim bogaty zbiór góralskich tańców i melodyj, notowanych w identycznem brzmieniu z oryginałem, t. j. tak, jak je po dziś dzień wykonują, złożone z dwojga skrzypiec i basów, góralskie kapele. Pracy tej, wymagającej obok talentu i znawstwa, również benedyktyńskiej iście cierpliwości, podjął się p. Stanisław Mierczyński, ofiarowując polskiemu ludoznawstwu dokument pierwszorzędnej wartości. Wzory swe czerpał autor z najbardziej autentycznych źródeł, t. j. u cieszących się tu największą sławą muzykantów, a więc u wspomnianego już Bartka Obrochty, Jędrzeja Tatara, Józefa Gąsienicy z Lasu i innych. Należy więc przypuszczać, że w pracy tej materjał ten został niemal całkowicie wyczerpany i nazawsze już utrwalony w formie trzygłosowej partycji, z licznemi adnotacjami i uwagami co do wykonania poszczególnych ustępów.

Dla zrozumienia istotnej wartości tej pracy, należy zaznaczyć, iż taneczna muzyka górali stanowi zupełnie zdefiniowany melodyjnie, harmonicznie i rytmicznie typ, przeciwstawiający się kategorycznie wszelkiej muzyce tanecznej „dólskiej", w niezmiennem zachowaniu swych charakterystycznych cech, a nawet odbiegający, w pewnym stopniu, od śpiewanej swobodnie tutejszej pieśni, z której czerpie jedynie zasadniczy rysunek melodyjny, deformując go częstokroć rytmicznie i naginając do swoistego swego wyrazu. Techniczne trudności tej pracy były ogromne, ze względu na to, iż tutejsi muzykanci grają oczywiście... bez nut. Jest to więc raczej improwizacja „we trzech", stwarzająca nieraz najbardziej nieoczekiwane „modernistyczne" harmonje, ujęta jednak zawsze w żalezne karby swoistego rytmu.

Należało partję każdego instrumentu zapisywać oddzielnie, zdarzało się jednak nieraz, iż basista np., zmuszony do „solowego" występu, grał inaczej, niż przed chwilą w zespole!

Obserwując niejednokrotnie p. Mierczyńskiego przy pracy, zrozumiałem dopiero, ile w swe dzieło wlał gorącego umiłowania przedmiotu, znawstwa, wytrwałości i cierpliwości!

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności „Tańce i melodje góralskie" nie zostaną skazane, jak tyle innych wartościowych dzieł, na bezterminowy pobyt w szufladzie biurka autora. Dobre chęci i inicjatywa grupy osób, związanych w prywatne konsorcjum, umożliwi w najbliższej przyszłości ukazanie się Tańców w odświętnej szacie zbytkownie wydanej książki, ozdobionej obrazkami p. Zofji Stryjeńskiej, która w przepysznych swych ilustracjach do kilku opowiadań ze „Skalnego Podhala" K. Tetmajera, tak świetnie wykazała głęboko intuicyjne odczucie góralszczyzny.

Nie miejsce tu na fachową analizę właściwości muzycznego „stylu" górali[1]). Chciałbym przedewszystkiem kategorycznie zaprotestować przeciw legendzie o ich „niemuzykalności", stworzonej — przypuszczam — przez pierwszych przybyszów z „nizin", przerażonych do głębi wykrzykiwaniem (dosłownie!) z wirchu do wirchu, z hali do hali pieśni juhasów. Oczywiście, nie ma ta metoda śpiewu nic wspólnego z pieściwym „bel canto" weneckich gondoljerów. Jednak, czy można mówić o „niemuzykalności" ludu, który poza niezmiernem bogactwem pieśni, czarujących nieraz nie-

[1]) Od 1914 r. zbiera melodje góralskie zapomocą fonografu p. J. Zborowski. Zbiór, złożony ze stu wałków, znajduje się obecnie w Muzeum Tatrzańskiem i został kompletnie wyzyskany przez Prof. A. Chybińskiego. Niestety, brak środków na zakupno nowych płyt utrudnia niezmiernie uzupełnianie tego cennego materjału. Jeszcze smutniejszą okolicznością jest niemożność utrwalenia kruchych wałków drogą galwanoplastyczną w cynku. Jest to jedyny sposób założenia długotrwałego archiwum. Ma je Ameryka, Berlin, Wiedeń — tylko nas na to nie stać.

[1]) Postaram się uczynić to we wstępie do książkowego wydania zebranych przez p. Stanisława Mierczyńskiego tańców.

zwykłą, kapryśną linją melodji, zdobył się *jedyny w Polsce* (a może i gdzieindziej!) na stworzenie zespołowo-instrumentalnej muzyki, opartej o oryginalny system harmoniczny i rytmiczny.

Pomijam tu rozmyślnie kwestję wpływów słowackich, węgierskich, czy jakichkolwiek innych, na kształtowanie się zasadniczych właściwości tej muzyki, wiedząc z gorzkiego doświadczenia, iż tak zwana „wpływologja“ nic zazwyczaj w sztuce nie tłomaczy, zasłaniając sobą, natomiast, szczelnie to, co w danem dziele jest jedynie *istotne*. Sądzę więc, że ujmować ją trzeba taką, jaką jest, w przeciwieństwie do tak w charakterze swym odmiennej muzyki „nizin“. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa na takie, a nie inne ukształtowanie się wpłynęły dwa potężne miejscowe czynniki, warunkujące sobą zresztą całokształt zjawisk swoistej tutejszej kultury; a więc przedewszystkiem niezmierna nędza, bezlitosna surowość i bezwzględność dawnego tutaj życia; z drugiej zaś strony również niezmierna, upajająca piękność otaczającego świata. Te dwa kontrastujące z sobą czynniki ukuły duszę dawnego górala, a z nią wszystko, co on w życiu czynił. Możliwość utrzymania tutaj życia zaczynała się na wąziutkiej grani najwyższego indywidualnego wysiłku. Wyjście na spadziste wirchy, na śnieżne wyżyny było odwiecznym, a wzniosłym symbolem twardego, codziennego życia w „dziedzinach“, i sądzę, iż było oderwane, jako symbol, bowiem góral jest bodaj jedynym chłopem w świecie nad wyraz wszelki czułym na głębie i piękno przyrody, oczywiście na swój sposób, a nie na sentymentalno-emfatyczny wzór przybyłego z nizin gościa. Codzienna konieczność największego wysiłku, z natury rzeczy, nakazuje osiągnięcie maximum rezultatu. W dziedzinie twórczości artystycznej tłomaczy się to dążnością i wolą zdobycia bezwzględnej doskonałości „formy“. Ta psychologiczna właściwość górali jest dla nas — artystów, nad wyraz bliską i zrozumiałą i — sądzę — tem właśnie się tłomaczy, — a nie jedynie pięknością przyrody—przyciągająca nas niezmiernie do stóp Tatr, niezwyciężona siła. Górale, w pewnem znaczeniu, osiągnęli tę doskonałość formy w budownictwie swem i zdobnictwie, ja i moi przyjaciele twierdzimy uparcie, iż osiągnęli ją również w muzyce swej i tańcu. Jest w tem wszystkiem pierwotna dzikość, szematyczna surowość prymitywu, nieustępliwość granitowej skały, a jednak wyczuwa się tu zupełny brak wszelkiego improwizatorskiego niedołęstwa, stwarzanie ciągłe pozytywnych, zamkniętych w sobie wartości, pracowite kucie kształtów, nietonących beznadziejnie w bezkrwistem morzu sentymentalizmu, wreszcie wrodzona im plastyka wyobraźni. Cechy te, w zakresie pojęć estetycznych, umożliwiły im w zupełności osiągnięcie tego, co zowiemy „métier“ sztuki: pewność ręki, niechybny wybór najprostszej i jedynej drogi do zrealizowania w surowym materjale artystycznego pomysłu. Ta „pewność ręki“ wyziera z każdego architektonicznego szczegółu pięknej staroświeckiej chałupy, z każdej melodji tanecznej, wykonywanej z taką wirtuozowską precyzją przez grajków-samouków, a wreszcie i samej nieomal baletowej „techniki“ tańca, który nigdy nie jest dorywczą improwizacją, a raczej opartem na indywidualnym temperamencie tancerza zrealizowaniem w ruchu pewnej „formy“: przezwyciężaniem z największą swobodą możliwie największych trudności; taniec górala jest zawsze solowym popisem i stąd uznanie, jakiem się cieszą najlepsi tancerze.

Objektywny stosunek do własnego tworzywa formuje dopiero prawdziwego artystę. Góral — pomiędzy polskimi chłopami — jest, a w każdym razie był niegdyś artystą *par excellence*.

Muzyczne „pięknoduchy“ i tak zwane „subtelne natury“ uciekają od tej „kakofonicznej“ muzyki, widząc w niej jedynie barbarzyński prymityw. Być może, iż tak jest w istocie, jednak jakże jest on ożywczym — w przeciwieństwie do wielu niezawsze subtelnych „subtelności“ naszej współczesnej artystycznej kultury — swoją bliskością natury, siłą i bezpośredniością temperamentu, a wreszcie niezmąconą niczem czystością wyrazu rasy. Pragnąłbym, by młoda generacja polskich muzyków zrozumiała, jakie bogactwo, odradzające anemiczną naszą muzykę, kryje się w tem polskiem „barbarzyństwie“, które ja już ostatecznie „odkryłem“ i pojąłem — dla siebie.

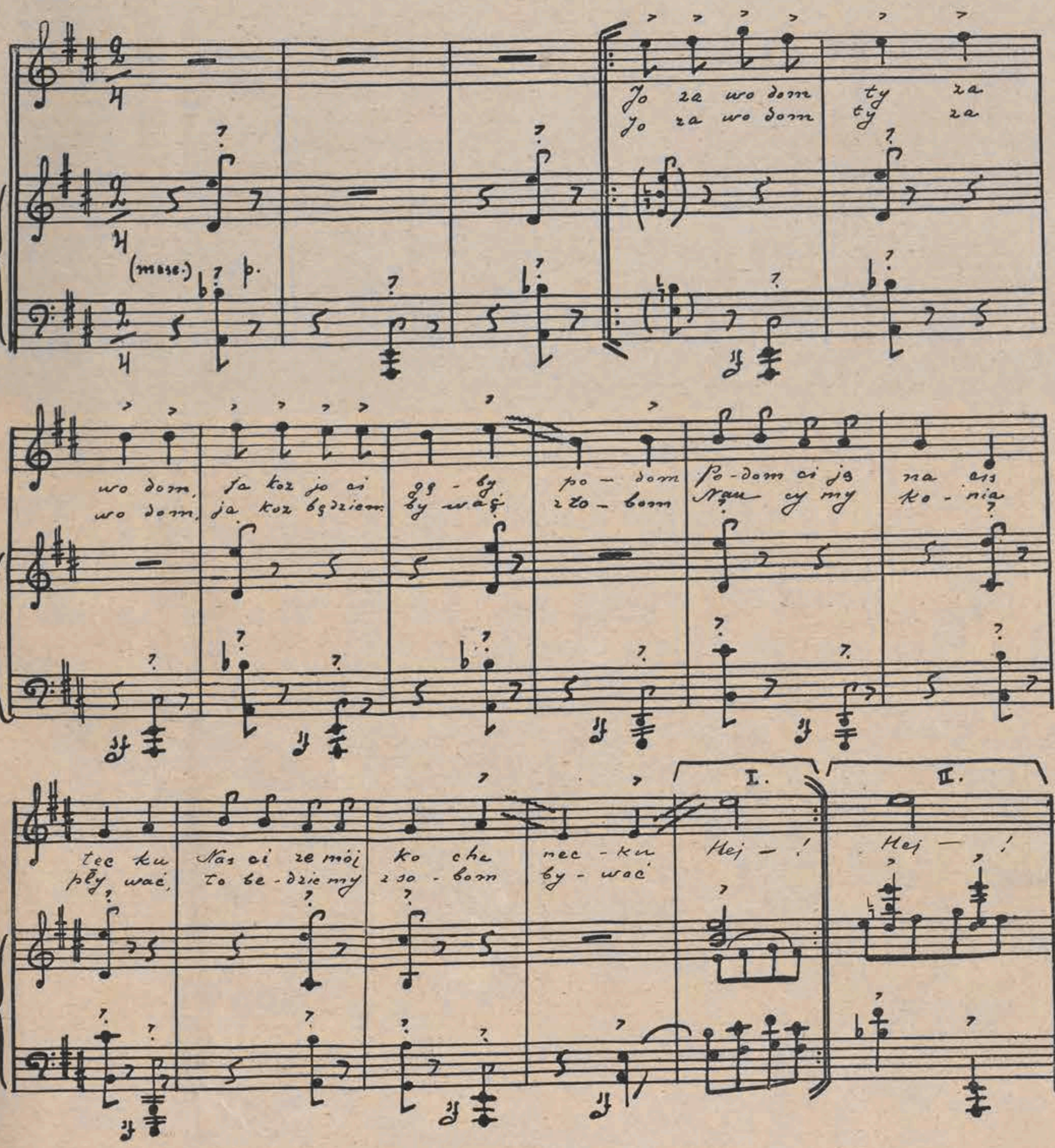
Zakopane, 12 stycznia 1924 r.

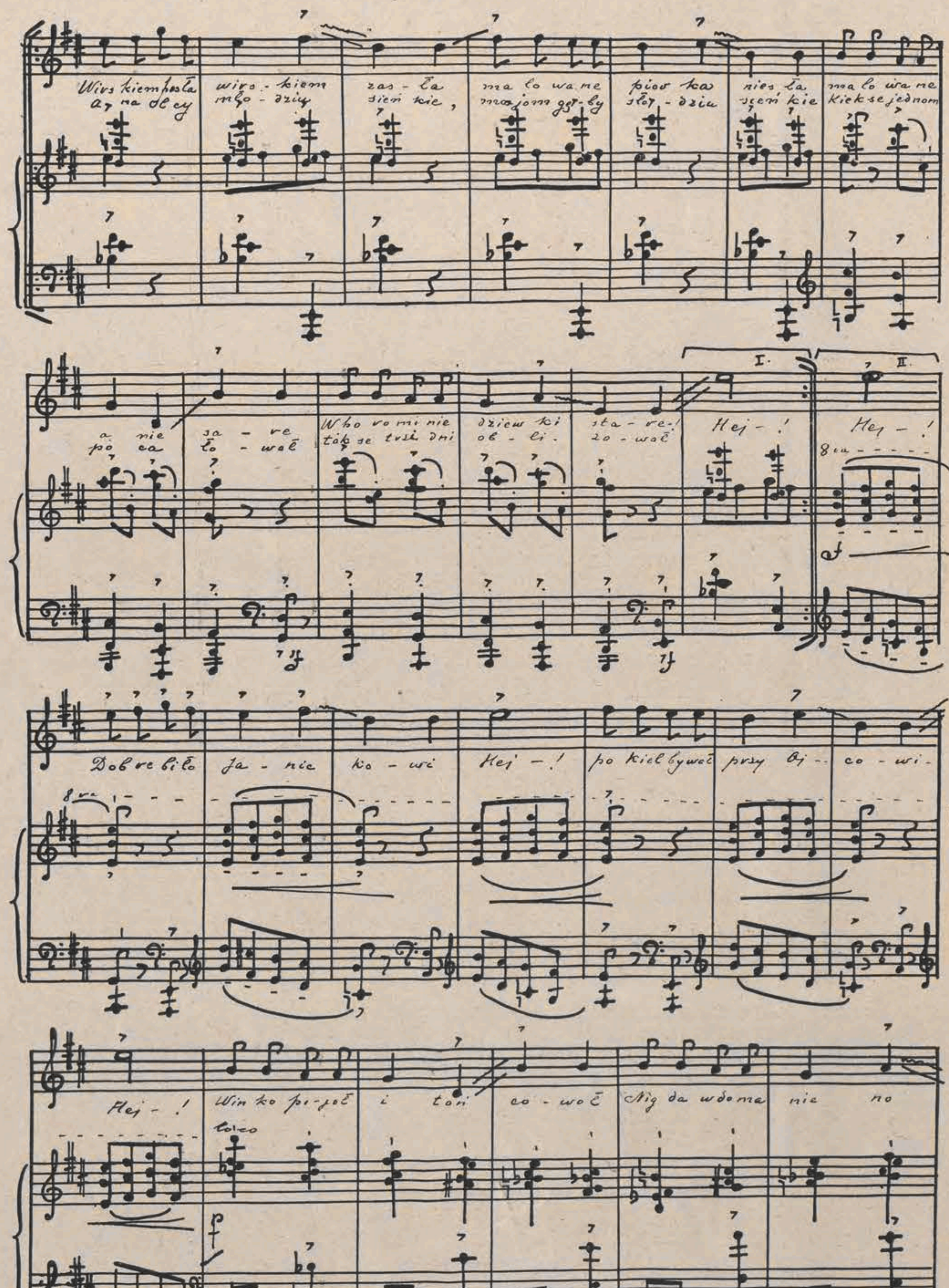
KAROL SZYMANOWSKI

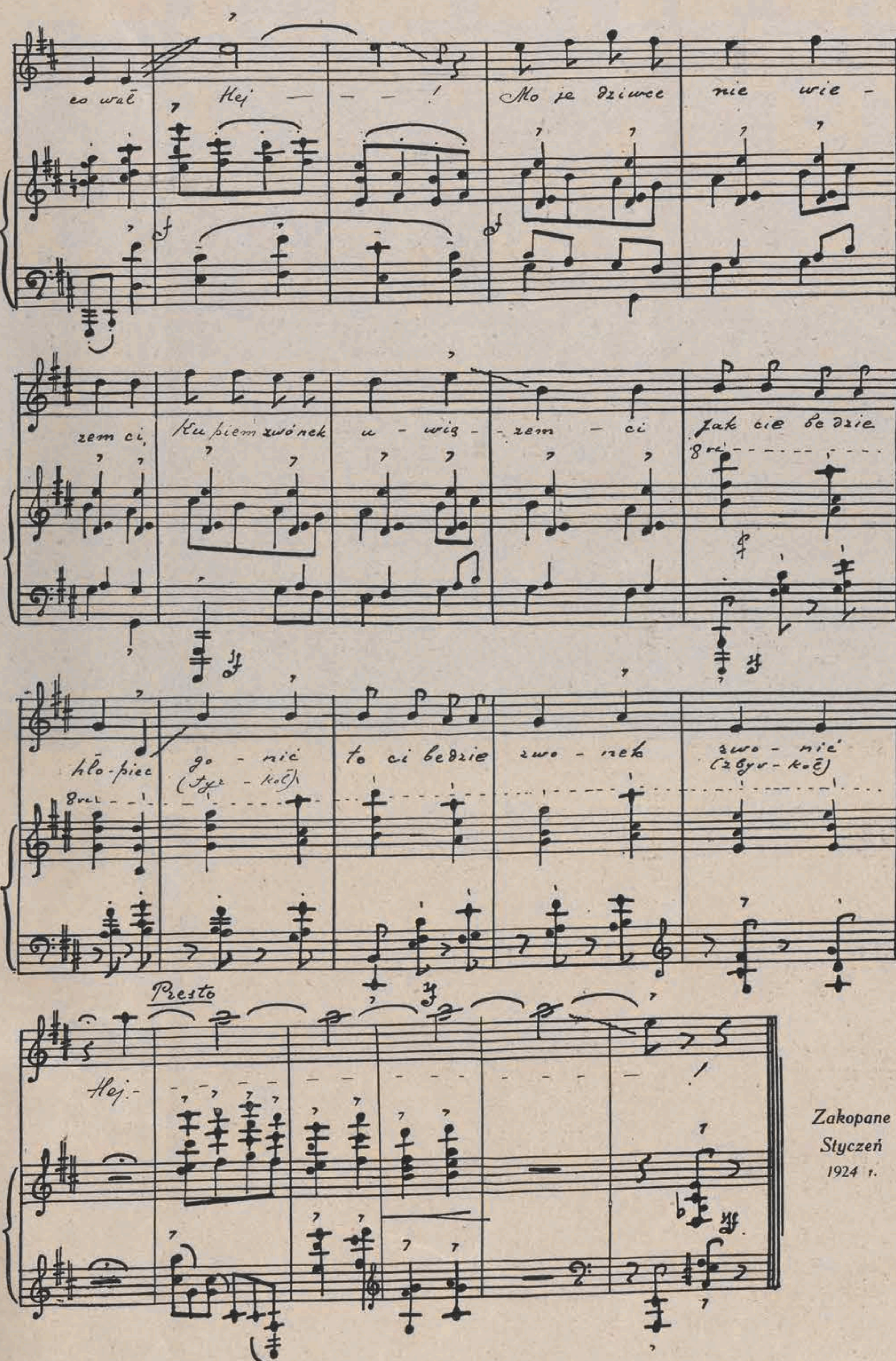


Allegremente

KAROL SZYMANOWSKI




Hej – !
Hej – !
Dobre bilo
Ja – nie
ko – wi
Hej – !
Hej – !



Zakopane
Styczeń
1924 r.



Zakopane-polski Salzburg

W gronie literatów i artystów, na nieświętym i nieuroczystym terenie którejś z kawiarń w okolicach Krupówek—niżej podpisany rzucił myśl, że Zakopane powinno być polskim Solnogrodem. Myśl znalazła odrazu poklask. Zachęcany wielokrotnie do rozwinięcia i rozgłoszenia jej, tenże chciwiec nowych obszarów życia — tak swą ideę podejmuje i wyłuszcza.

Ale jeszcze przedtem musi wyjaśnić, co to jest Solnogród:

Solnogród, czyli po niemiecku Salzburg, jest to owo miasto śród Alp dolno-austrjackich położone, w którem urodził się wielki Mozart. Zaczarowany flet kompozytora, który najwięcej ma praw i widoków przetrwania wszystkich epok i prądów w sztuce, do dzisiejszego dnia wibruje i brzmi śród wspaniałych gór i nad wartką rzeką z płynnych szmaragdów.

Kiedy rozkleiła się wielka mozajka Austrji Habsburgów i byt jej oparł się na niewielkim skromnym gruncie macierzystym, kiedy z wielkiego mocarstwa zostało tylko siedem miljonów obywateli, mniej lub więcej zrujnowanych — w głowach ich powstała myśl, ażeby Salzburgowi przywrócić dawną wersalską świetność i uczynić go na nowo siedzibą czegoś wielkiego. Ponieważ to nie zależało ani od magistratu miasta stołecznego Warszawy, ani od Departamentu Kultury i Sztuki z nim zsolidaryzowanego, ani wreszcie, od Towarzystwa Zachęty, więc Solnogród zmartwychwstał pod dźwiękami fletu zaczarowanego ludzkiej dobrej woli, patrjotyzmu i zapału, więcej nawet, stał się poniekąd spadkobiercą artystycznych Kuźnic stolicy—Wiednia, i jeszcze więcej: zapragnął nawet powetować wrażenie wielkiej politycznej klęski—wrażeniem jakowegoś Odrodzenia.

Przez dwa lata Salzburg tedy był tym nowym ulem, do którego znosiły swój miód różne pszczoły sztuki. Zawrzało w nim tedy, jak w ulu. Kongresy, zjazdy, wielkie festivale muzyczne i teatralne, przystań letnia głośnych kapelmistrzów, dyrektorów teatrów, sławnych dekoratorów, reżyserów. Wielu z nich osiedliło się tutaj na stałe. Między innymi, Max Reinhardt, zgodnie z książęcemi tradycjami swego pochodzenia, zamieszkał w nabytym przez siebie zamku prawdziwego księcia przedwojennego i t. d.

Napływ ten sił i organizatorów sztuki zwiększył się jeszcze przez odpływ z Berlina, który wprawdzie nie nęcił nigdy za bardzo, ale teraz całkiem przestał nęcić.

Rok dzisiejszy jest z kolei trzecim, w którym Solnogród święci prawdziwy triumf w roli austrjackich Aten.

Takim właśnie Solnogrodem dla artystycznej ekspansji polskiej powinno być Zakopane. Niema w niem wprawdzie zaczarowanego fletu, ale jest coś niemniej donośnego: odnaleziony zaczarowany złoty róg.

Kiedym w ciągu jednego dnia spotkał czterdziestu ludzi ze świetnemi lub głośnemi nazwiskami, już we wrześniu, już w przeddzień pierwszych halnych wiatrów, — stało się dla mnie wyraźnem, że oni tutaj powinni być panami i prawodawcami. Jest to pokolenie drugie i druga późniejsza warstwa tych, co przychodzą w pobliże rycerzy śpiących w Tatrach wzmacniać rozmach swej fantazji olbrzymim, podniecającym umysł rozmachem

szerokiej doliny, rozesłanej u stóp Giewontu i Gubałówki. O pierwszych budowniczych i odkrywcach Zakopanego wielu już zapomniało: o Chałubińskim, Witkiewiczu, Matlakowskim, Tetmajerze, Kasprowiczu, Orkanie, Stopce i tylu innych, co zwiększyli obszar polskiej muzy i polskiego władztwa artystycznego — już się nie mówi. Przyszła nowa epoka. Nastała po okresie apatji i zniechęcenia przez najazd wszelkiego rodzaju nowobogactwa i pensjonatowego obżarstwa, to znowu przez nieocenioną i w pożytku swym nieobliczalną, ale jednostronną płodność sportów zimowych— nowa fala wrażliwości na majestat gór.

Zaczęto na nowo nie wstydzić się słów zachwytu i oczarowania. Z nową siłą wybucha zrozumienie i odczucie tego, co się dzieje tam, za skalistą ścianą Giewontu. Zakopane znów odświeża, inspiruje, godzi z życiem artystę, który patrzy na gasnące ognisko wielkiej sztuki w Krakowie i na jej nieszczęsną człapaninę po duchowem błocku i mieliznach Warszawy.

Z tego oto odrodzonego entuzjazmu trzeba zbudować polski Solnogród, z tych nawet krzykliwych i podbijających cenę panien i młodzieńców w „kołnierzykach à la Słowacki". Tak jest. Z nich trzeba zrobić snobów, są przecież niezmiernie — w gruncie rzeczy — pożyteczną dla sztuki, choć może nieco natrętną — asystą. Niech chodzą do teatru, który stanie w Zakopanem, niech się uczą i włóczą po wielkiej wystawie plastyki, która tam przez lato całe będzie promieniała, niech słuchają wielkich koncertów, które tam będzie organizował letni Akropol sztuki; niech szukający rozrywek w długie wieczory mają to, bez czego człowiek, z elementarną bodaj kulturą, żyć nie może.

I niech — przedewszystkiem — wielka, nieprzeliczona już dzisiaj gmina artystów i twórców polskich ma swój pałac sztuki i teatru w powietsrzu, przesyconem ozonem, w otoczeniu wielkości przyrody.

W chwili, kiedy Zakopane zabudowało się murowanemi willami i domami i musiało zerwać z legendarno-idyllicznym i drewnianym okresem swego rozwoju — (kiedy drożyzna budulcu pierwsza je do tego zmusiła), kiedy powoli zamienia się na miasto górskie — taki wielki dom teatru, muzyki i propagandy artystycznej powinien czemprędzej się narodzić, a rodzicami jego powinna być gmina Zakopanego i ministerjum oświecenia publicznego. Wreszcie mniejsza o to, kto zbuduje, byle zbudował prędzej, wspanialej i mądrzej.

CEZARY JELENTA

HELENIE ROJA-RYTARDOWEJ

Himalajom Bóg w chmurach kazał tkwić za karę,
Kilimandżaro byle żak ma na języku,
I tylko Tatry — o prawdziwy szyku! —
Wysokie są — w miarę.

Górscy mieszkańcy słyną z odrębnej muzyki:
Baskijczyk tamburynem potrząsa jak tarczą,
Tyrolczycy jodlują, nam skromnie wystarczą
Bartkowe gęśliki.

Czyście widzieli kiedy jak tańczą drobnego?
Klaśnięcie w dłonie, choć to moda nie dzisiejsza:
Cóż dopiero, gdy w taniec pójdzie najwdzięczniejsza
Góralka z Zakopanego!

JAN MIECZYSŁAWSKI

O SZTUCE GÓRALI

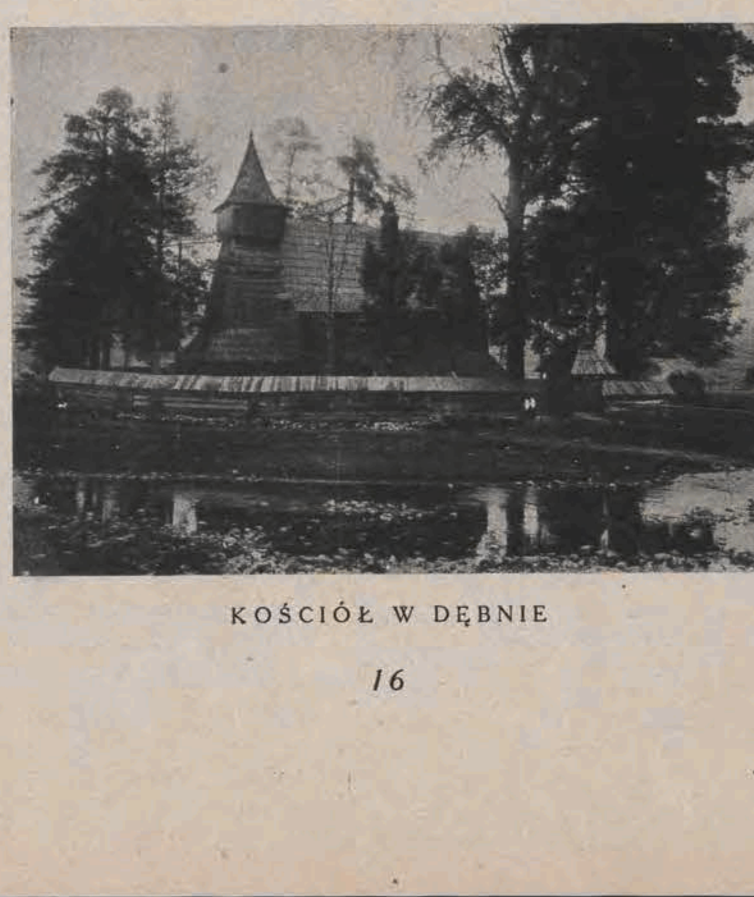
W latatach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia dzięki genjalnej propagandzie Stanisława Witkiewicza góralszczyzna stała się modną w całej Polsce. Niestety były to czasy dla rozwoju sztuki dekoracyjnej najbardziej wrogie, posiadaliśmy bowiem wtedy świetne malarstwo, ale sztuką dekoracyjną prawie nikt się nie zajmował, a wszystkich młodych artystów porywał impresjonizm. To też artyści, którzy sztuką góralską się zajęli, nie posiadając żadnych studjów z zakresu sztuki dekoracyjnej, w powierzchowny sposób zapoznali się z góralszczyzną i zaczęli produkować tandetę, stosując wszędzie bezmyślnie zewnętrzny ornament, do tego najbanalniejszy. Naturalistyczny dziewięciornik ożeniony z banalnie „uszlachetnioną" lelują obrzydziły ludziom kulturalnym na długie lata sztukę góralską i całą tak zwaną „zakopiańszczyznę".



KAPLICZKA W PORONINIE

Tymczasem masa gości zakopiańskich, nie posiadająca prawie żadnej kultury artystycznej, skupuje co roku i rozwozi po całej Polsce wyroby tandety zakopiańskiej i to ją mimo jej bezwartości przy życiu utrzymuje.

Równocześnie jednak w Muzeum Tatrzańskiem i u kilku zbieraczy gromadzono zbiory, które nie tylko mogą być pomnikami artyzmu górali, ale, co ważniejsze, mogą stanowić podwaliny dla polskiej kultury artystycznej. W czasie działalności propagandowej Stanisława Witkiewicza głośną była w Polsce dyskusja, czy istnieje styl zakopiański czy tylko „sposób" zakopiański. Dziś z odległości czasu łatwo spostrzec, iż dyskusja była dyskusją o słowa, bo obydwie strony zabierające głos błądziły w tem, że sprzeczano się nie o to, co na dyskusję zasługiwało to jest o sztukę góralską, ale o tak zwane usiłowania różnych artystów.



KOŚCIÓŁ W DĘBNIE

Sztuka plastyczna górali jest stylem oczywiście nie w znaczeniu stylu historycznego jak np. barok, ale jako całokształt form odrębnych, które góral stwarzał i niemi się otaczał. Począwszy od studni, a skończywszy na kościele w architekturze, od czerpaka do kredensu w sprzętarstwie, w całym stroju, garncarstwie, malarstwie i rzeźbie góral posiada własne i piękne formy, któremi się posługuje w sposób odrębny od innych narodów, a przeważnie odrębny i od chłopa polskiego z dolin. W czasach witkiewiczowskich zastanawiano się również nad tem, czy sztuka góralska jest od sztuki reszty ludu polskiego zupełnie odrębna, czy też jest istotną sztuką ludową polską, która tylko dzięki położeniu geograficznemu w górach, jako miejscach trudno dostępnych, zachowała się w zupełnej swej czystości.

Hypoteza druga zdaje się być słuszniejszą wobec faktu, iż w innych częściach Polski, a zwłaszcza na Śląsku, w Poznańskiem i w Lubelszczyźnie, znajduje się bardzo wiele motywów architektonicznych i zdobniczych, identycznych z góralskiemi. Niemniej górskie położenie geograficzne, warunki klimatyczne, zajęcie pasterskie i t. p. czynniki wpłynęły na zupełnie specjalną modyfikację wielu form, które wyłącznie na Podhalu znajdujemy.

Niejednokrotnie słyszy się zdanie, że bardzo wiele motywów, w sztuce góralskiej często spotykanych, znajduje się także u innych narodów. Ma to dowodzić nieoryginalności motywów góralskich. Otóż należy ustalić, że nie poszczególne motywy

stanowią o istocie ich stylu, ale sposób, w jaki są łączone w całość. Istotnie najpowszechniej stosowane w tak zw. zakopiańszczyźnie motywy jak gwiazdy, leluje i parzenice znaleźć można u wielu obcych kultur, ale nie stanowią też one istoty stylu góralskiego.

Na rozwój kultury artystycznej górala wpływały niewątpliwie w wysokim stopniu dwa czynniki społeczne, a mianowicie atmosfera wolności, w jakiej żył od wieków, i zajęcie pasterskie w klimacie o długiej zimie. Góral nie był chłopem pańszczyźnianym, gdyż Podhale należało do tak zw. królewszczyzn, t. j. dóbr królewskich dzierżawionych sołtysom góralom, którzy za te dzierżawy płacili daniny. Fakt, że lud w Łowickiem i Krakowskiem, gdzie również nie było pańszczyzny, a dobra księże, wytworzył w tych okolicach najbogatszą po podhalańskiej kulturę artystyczną, dostatecznie stwierdza, że czynnik swobody i wolności jest dla tworzenia kultury artystycznej nawet u ludu decydującym.



OBRAZY NA SZKLE
łyżniki, spinki, pasy juhaskie

Pasterskie zajęcie i płynące z niego wolne od pracy zimowe dni dawały góralowi czas do zaspokojenia swych artystycznych potrzeb.

Wszechstronność zdolności górali dowodzi znów wybitnej wartości ich czynnika rasowego. Przeciętny góral jest doskonałym rolnikiem, woźnicą, cieślą, stolarzem, myśliwym i rzeźbiarzem. Stąd pochodzi olbrzymia różnorodność motywów w sztuce góralskiej, która jednak tylko niewielkiej ilości jednostek w Polsce jest znaną. Chcąc poznać bogactwo sztuki góralskiej, nie wystarczy zwiedzić Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem i przeglądnąć wszystkie wydawnictwa z tej dziedziny, ale należy poprostu przejść całe Podhale wzdłuż i wszerz pieszo. To, co w zbiorach publicznych i różnych publikacjach się znajduje, jest zaledwie częścią tego olbrzymiego bogactwa, które lud góralski w swej sztuce posiada.



ŚW. RODZINA
obraz malowany na szkle

Z dziedziny budownictwa powszechnie znane są tylko motywy, znajdujące się w okolicy samego Zakopanego, to samo odnosi się do sprzętarstwa. Rzeźba zdobnicza wyzyskiwana dotąd była w motywach najbanalniejszych, bo prawie wyłącznie geometrycznych, tymczasem najpiękniejsze są roślinne prawie zupełnie nie używane. Ceramika, hafty białe, obrazy na szkle, prawie nie tknięte. Podhale czeka jeszcze na dwa rodzaje pracowników, a mianowicie: najprzód na zbieraczy, którzy całe to bogactwo zbiorą w całość i uprzystępnią za pośrednictwem dobrego wydawnictwa, a potem na tych artystów, którzy, poznawszy ducha tej sztuki i istotę sztuki dekoracyjnej, zaczną tworzyć dzieła zastosowane do współczesnego życia sfer kulturalnych.

W głębokiem przekonaniu, że sztuka góralska niedługo będzie przechodzić swój renesans, można tylko życzyć wszystkim, co sprawą tą żywiej się interesują, aby starali się dobrze ją poznać, a reszta sama w konsekwencji wypłynie.

Aby jednak to osiągnąć, nie wystarczy tu sam zapał, zamiłowanie i pracowitość; temi zaletami niewątpliwie odznaczali się pierwsi pionierzy w tej dziedzinie, jak n. p. Z. Matlakowski. Niezbędne tu przedewszystkiem artystyczne odczucie charakteru. Nie wystarczy być tylko zamiłowanym i pilnym zbieraczem, ale i artystą. Patrząc na poczynania dyrektora Szkoły Zawodowej w Zakopanem Karola Stryjeńskiego, można nabrać otuchy, że Szkoła ta, jako placówka dla rozwoju sztuki dekoracyjnej na Podhalu tak ważna, nareszcie znalazła odpowiedniego kierownika. Należy ją jednak do gruntu zreorganizować, zmodernizować i przeprowadzić konieczną odżywczą wymianę świeżych sił nauczycielskich.

WŁADYSŁAW SKOCZYLAS

WYCIECZKOWICZE, TURYŚCI I NARCIARZE

Pisano dużo w „Pani“ o Zakopanem, o sezonach, uroczystościach jubileuszowych, zkolei słów parę powiedzieć należy o górach, którym wyłącznie zawdzięcza swe powodzenie nasza letnia stolica.

Polacy nie czują gór i nie rozumieją ich naogół, tak, jak nie doceniają uroku i wartości żywiołu wodnego.

Idźmy w Tatry, w pełni sezonu.

Przez piękną, szeroką dolinę Pięciu Stawów przewija się olbrzymi wąż.

To wycieczka. Sto osób idzie gęsiego.

Cisza południa nad drzemiącemi stawami.

Nagle wrzask niesamowity bije echem o skaliste ściany.

Co się stało?

Nic strasznego. To właśnie ta stuosobowa wycieczka zebrała w sobie cały animusz i pod komendę: lewa, prawa, ryczy wszystkiemi gardłami:

Dziewczyna mu dała

A on legjonista... i t. d.

O biedne, oszołomione Tatry, z których już ostatnią kozicę, smukłą, przepiękną wypłoszono wojennemi, heroicznemi hymnami!

Trudno. To się nazywa dziś popularnie pochodem i zalewem spienionego życia.

Podobno są w Polsce poeci, którzy marzą o tem, żeby w Tatrach wzdłuż i wszerz wybudowano kolejki zębate.

Świetna myśl! Idealna poprostu!

Stańmy przy Czarnym Stawie Gąsienicowym.

Tafla wody marszczy się lekko i odbija w sobie nieruchome, złote od słońca szczyty. Lecz o ciszy tutaj nawet marzyć nie można. Z każdego wierzchołka, a jest ich tu kilkanaście, dolatują przeraźliwe wrzaski poczciwych, rozentuzjazmowanych wycieczkowiczów.

Staje nad stawem jakaś para. On lekarz wojskowy, elegancko ubrany, ona w czapce studenckiej, osłaniającej piękne, żywe oczy.

— Ach, jak tu ładnie, — zachwyca się dojrzewająca kobieta, — ale dlaczego on się nazywa „czarny“?

Za chwilę nadciąga inna para. On ma wysokie czoło, nabijane guzami genjalności.

— Ale dlaczego on jest „czarny“? — słychać pytanie.

Wreszcie wtacza się kilku zasapanych oficerów.

Jakiś najmniej zdyszany ma przemowę na brzegu:

— Mówiłem wam, że będziecie mnie przeklinać zpoczątku, lecz potem zato będzie się wam tu podobać.

— Tak, tak, — przytakuje jakiś gruby, sponsowiały kapitan, zapatrzony nieruchomo w staw, — ale dlaczego on się właściwie nazywa „czarny“?

Stańmy chwilę na Zawracie, na tej bramie narodów, przez którą wędrują rozflirtowane tłumy do Morskiego Oka.

W ścianach żlebu słychać jakiś łoskot, chrobotanie, które echem idzie po gładkich płytach.

Nagle pod przełęczą wynurza się coś.

Oto dwaj gentlemeni w melonikach i nowiutkich żakietach, spoceni jak biedne, żałosne myszy, ciągną na grubym powrozie wielką, podróżną walizę.

Najadłszy się dosyta na przełęczy z owej skrzyni zasobnej, biorą ją za uszy i z piosenką na ustach, wypytawszy się nas dokładnie, gdzie leży ten Morski Ok, maszerują przez biedną, potulną dolinę Pięciu Stawów Polskich.

A przed schroniskiem na hali Gąsienicowej rozsiada się szeroko, tak świetnie scharakteryzowany w „Słówkach“ przez Boya, znany literat polski i po powrocie od Zmarzłego Stawu czuje się w pełni radosnego zadowolenia z samego siebie.

Z ust jego wyrywa się przedziwnie ujmująca maksyma:

— Gdy jest pogoda, to taka wycieczka ma swój nieodparty urok...!

Przerywa mu nagle cienki głosik eleganckiej damy w białej tiulowej sukni i zamszowych, zgrabniuteńkich pantofelkach:

— Słuchajcie, gospodarzu, gdzie tu jest studnia?

Chwieją się stare rozłożyste kosówki. Od ścian granitowych idą podmuchy ciepłego wiatru.

*

A teraz parę słów o turytach. Tych można odróżnić odrazu w tłumach, podróżujących przez góry.

Są to ludzie małomówni, flegmatyczni, z jakiemś dziwnem światłem w oczach i dalekiem, szerokiem zapatrzeniem.



ODBITE, JAK W LUSTRZE...

Powiadają, że marynarze, którzy całe życie spędzają na morzu, mają taki wzrok.

Patrzą w milczeniu na te rojowiska i cierpliwie czekają owego września słonecznego, gdy już pusto i cicho będzie wokół i można bez obrzydzenia zapuścić się w góry. Doskonałym przykładem jest ostatni pobyt w Tatrach pułk. M. Zaruskiego, adjutanta gen. p. Prezydenta, który wraz z prof. Landem spędził 11 dni na wycieczce, mieszkając przez cały czas w namiocie, który nosili ze sobą. Obóz rozbijali tylko w dolinach Wysokich Tatr, gdzie rzeczywiście mieli zupełny spokój, zdala od jarmarku ludzkiego.

Jakże przedziwne wrażenie odnosi się, patrząc na te nieliczne prawdziwe turystki, które przewędrowały Tatry wzdłuż i wszerz i znają wszystkie najwspanialsze i najgroźniejsze przejścia górskie letnie i zimowe. Gdy idzie się w ich towarzystwie w góry i równocześnie spotyka kobiety ubrane w spacerowe kostjumy, w pantofelkach elegandckich, które po jednej wycieczce rozlecą się momentalnie, a które kosztują akurat tyle samo, co dobre, górskie buty, wystarczające na kilka lat.

Stara, jak świat, jest troskliwość, z jaką kobieta obmyśla swe spacerowe, wizytowe, czy balowe stroje.

W stosunku do kostjumu turystycznego, potrzebna jest jeszcze większa inwencja, gdyż musi on być przedewszystkiem wygodny i odpowiadający warunkom terenowym i atmosferycznym. Połączenie z temi warunkami estetycznego wyglądu takiego ubrania jest bardzo trudne, a ileż to razy słyszy się w górach słowo oburzenia owych podtatusiałych podróżników, wypowiadane pod adresem pań, ubranych w spodnie turystyczne.



TRUDNA PARTJA SPINACZKI



NAD PRZEPAŚCIĄ

U nas narazie mówić można, już nie o ulepszaniu kostjumów turystycznych, lecz wogóle o konieczności jak najszerszego ich wprowadzenia.

Gdy się widzi panie, ubrane w komiczną kombinację salonu z górami, poprostu znieść nie można tych potworkowatości. W lecie np. panie ubrane w cienkie, obcisłe spodenki i buciki na wysokich obcasach, wszystko tylko dlatego, żeby linja ciała całego układała się lepiej.

Po sezonie letnim, który kończy się we wrześniu, zbliża się zima, a z nią coroczny rozkwit życia narciarskiego. Mamy nadzieję, że po pobycie zeszłorocznym naszych zawodników zagranicą, którzy widzieli ekwipunek tamtejszych turystów i turystek, coraz mniej będziemy spotykali pań, ćwiczących na nartach w obszernych sukniach, tylko przez brak kultury turystycznej, a czasem przez zbytnią pruderję.

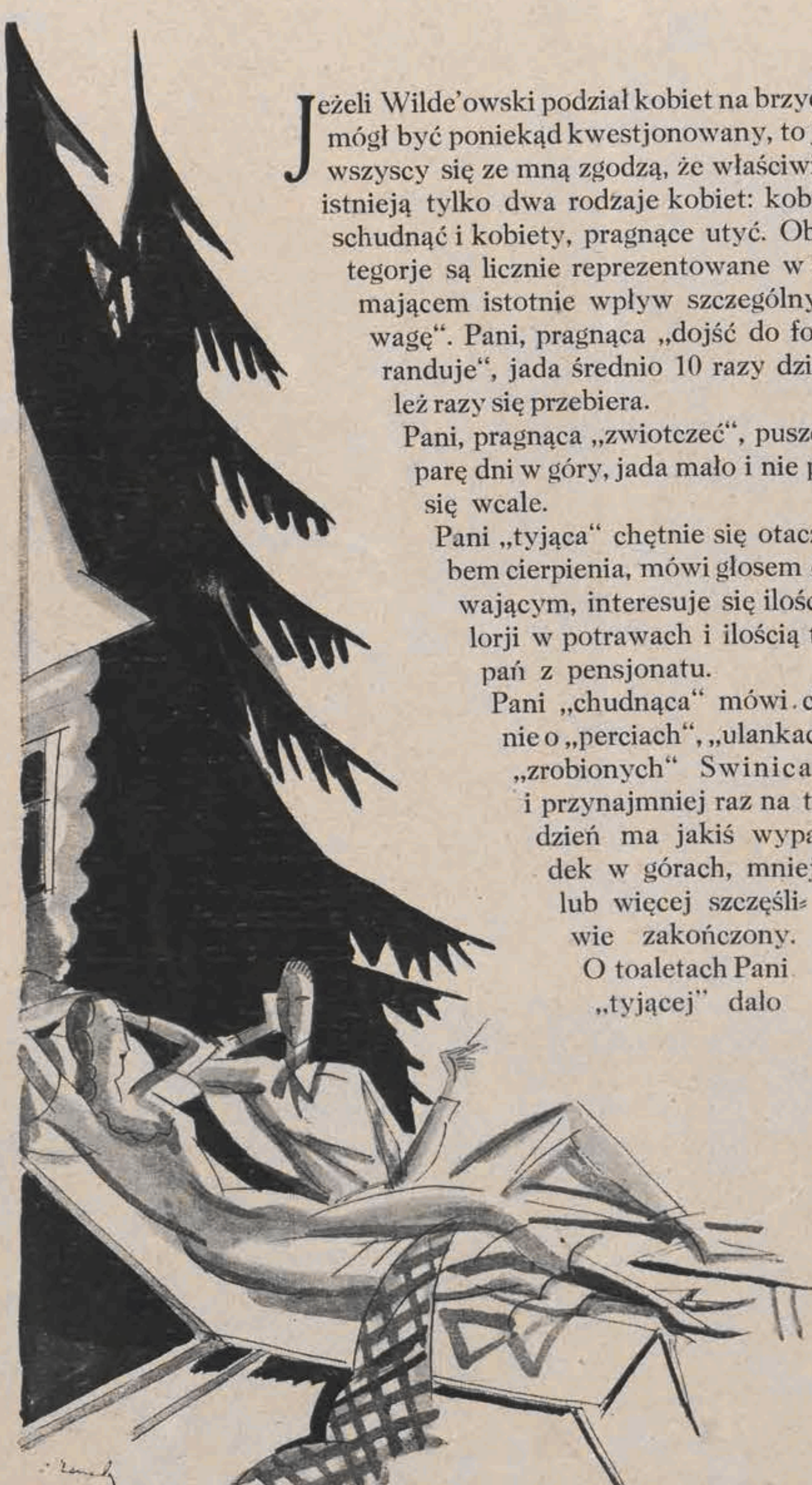
Jako bezwzględną przesadę notujemy ostatni najmodniejszy typ kostjumu damskiego do nart: białe kamasze włóczkowe, sięgające wysoko poza kolana, następnie krótkie spodnie o olbrzymich buffach, coś w rodzaju kostjumu męskiego z czasu panowania Franciszka I hiszpańskiego. Na to obcisły szalenie sweter biały.

Kostjumów takich używają obecnie Francuzki, Belgijki i Hiszpanki. Dodać do tego należy, że wszystkie zawodniczki powyższych narodowości, jak zauważono na zawodach narciarskich w Superbagnéres, były w niemiłosierny sposób wymalowane i wyszminkowane.

Niestety, te troski o wygląd twarzy wymagają tak dużo pracy i uwagi, że brakuje im czasu na racjonalne treningi. *J. M. Rytard*

W Górach







Jeżeli Wilde'owski podział kobiet na brzydkie i malowane mógł być poniekąd kwestjonowany, to już z pewnością wszyscy się ze mną zgodzą, że właściwie i zasadniczo istnieją tylko dwa rodzaje kobiet: kobiety, pragnące schudnąć i kobiety, pragnące utyć. Obydwie te kategorje są licznie reprezentowane w Zakopanem, mającem istotnie wpływ szczególny na „żywą wagę". Pani, pragnąca „dojść do formy", „weranduje", jada średnio 10 razy dziennie i tyleż razy się przebiera.

Pani, pragnąca „zwiotczeć", puszcza się co parę dni w góry, jada mało i nie przebiera się wcale.

Pani „tyjąca" chętnie się otacza nimbem cierpienia, mówi głosem omdlewającym, interesuje się ilością kalorji w potrawach i ilością toalet pań z pensjonatu.

Pani „chudnąca" mówi chętnie o „perciach", „ulankach", „zrobionych" Swinicach i przynajmniej raz na tydzień ma jakiś wypadek w górach, mniej lub więcej szczęśliwie zakończony.

O toaletach Pani „tyjącej" dało







by się powiedzieć, że im więcej, tem lepiej— prawie „wszystkie suknie świata" od pyjamki zacząwszy, na sukni dekoltowanej, „na wszelki tańcujący wypadek" przeznaczonej, ukończywszy.

Pani „Taterniczka" wraz ze spodeńkami przyswaja sobie pogardę dla fatałaszków i uznaje tylko rzeczy praktyczne, nieprzemakalne, podwójne i podkute.

Strój jej składa się ze „sweater'a" i mniej lub więcej szerokich „knicker bockers". Do tego dochodzi krótki płaszczyk górski z kapiszonem, oraz welniane pończochy i skarpetki zawinięte w kostce. Obuwie górskie podbite gwoździami.

Panie lubiące komfort zaopatrują się jeszcze w termosy, pledy, nesesery i t. d., ale to tylko w wypadkach, kiedy im się uda też zaopatrzyć w „bęcwała", który to wszystko będzie za nie dźwigać.

„Bęcwał" poza tą rolą wielbłądzią odgrywa jeszcze znawcę i bywalca gór, ma wszystkie szczyty w pięciu palcach i panią zwykle, jak morskie oko w głowie.

Gdy wszystko jest już gotowe idzie się w góry najczęściej na kilkudniową wycieczkę, z której wraca się po godzinie. W wypadkach takich stale nie dopisuje pogoda.

Taternictwo wymaga podówczas krótkiego wypoczynku niezależnie od tuszy i nadprogramowego podwieczorku zależnie od tuszy.

W zimie Pani jeździ na nartach, co stanowić może temat do specjalnego feljetonu. Punktem wyjścia musi być kolorowa czapeczka z kutasem, zakończeniem wspomniane wyżej („w lecie") skarpetki zawinięte w kostce. Całość składa się sama i czeka do grudniowego numeru „Pani".





W WRZEŚNIU BYWA CHŁODNO



Żakiet jedwabny lamowany fokami

Anegdotka historyczna opowiada, że minister Marji Teresy osławiony Kaunitz nosił w lecie futro. Jeżeli więc wolno było dygnitarzowi austrjackiemu uczynić z lata zimę, dlaczego nie mogłyby sobie na to pozwolić królowe stworzeń — panie? Tembardziej, że to, co u ministra było śmiesznością, u pań jest tylko ekstrawagancją, nierzadko uzasadnioną, bo do lekkich sukienek w chłodne wieczory wrześniowe futro jest zupełnie odpowiednie.

Nad morzem, zwłaszcza nad chłodnym Bałtykiem, nawet w lipcu i sierpniu kurtki futrzane są niemal niezbędne, a Paryżanka, wróciwszy z letnich wywczasów do miasta, chcąc zapewne zaznaczyć, że dla niej zakończył się już sezon letni, korzysta z każdej „chłodniejszej" okazji, aby się otulić w foki, breitschwanzy, chinchille.

Szale, albo krawatki futrzane (ostatnia moda!) nawet w upalny dzień noszone są na wyścigach do jasnych sukien. A, jak donosi „radjo mody" z Paryża, biedne zwierzątka będą tego roku mocno eksploatowane do bramowań i wszelkiego zdobienia sukien. Zwłaszcza małpy, na które teraz rozpocznie się nagonka na całej linji, bo, prócz Steinacha i Woronowa, uwzięła się na tych naszych dostawców eliksiru młodości, także wciąż odmładzająca się moda.

NINA

Żakiet fokowy przybrany małpimi włosami



Zdjęcia: Franz Löwy, Wiedeń - Paryż.



JUMPER MELÉ,
KOŁNIERZYK
Z POPIELIC

PŁASZCZ
Z
BREITSCHWANCÓW



PŁASZCZ
SZANSZYLOWY



ZDJĘCIA:
FRANZ LOVY
WIEDEŃ
PARYŻ

U Schyłku Lata



Tok z retrusem z crepe de chine'u deseniowego zastosowanego do szala



Suknia z granatowego repsu aplikacje z kretonu przyhaftowanego włóczką



Suknia z czarnego fulgurante przód z crepe de chine'u czerwonego drobno plisowanego

Wróciły już nasze etjopki, murzynki, egipcjanki! Blade słońce wrześniowe poprzez srebrną siatkę „babiego lata" patrzy zdumione i myśli... że Gabrjelowi Serafinowi (bohaterowi „Promieni FF") przecież udał się eksperyment. Nie wie poczciwe „oko dnia", że to ono samo upiekło tak nasze piękne panie na bronzowo, iż kraj nadwiślański (nie „przywiślański", dzięki Bogu!) upodobnił się do daru Nilu, pszennego Egiptu. Różnica polega tylko na tem, że tam mumje musi ten lub ów lord wydobywać z pod ziemi w pocie czoła i z narażeniem życia, a tu, nad brzegami Wisły, spacerują mumje żywe, zdrowe, roześmiane, jakgdyby wydobyły się tłumnie na wolność z... British Muzeum.



Suknia z crèpe satin czarnego, bok kloszowy, przybrania z koronki brukselskiej

Palto półdługie koloru piaskowego przybrane wełną w kratę

Suknia z żółtej wełny kaska przybrana białą skórą drukowaną

Bo proszę tylko spojrzeć:

Gładko przyczesane, krótkie włosy i grzywka na czole wygłaskana, brwi nakreślone długą linją, sięgającą skroni, aby nadać oku kształt migdałowy, sukienka wąska, przylegająca, jak powijaki nieboszczyków egipskich, długie kolczyki, naramienniki, bransolety... Wykapana mumja z pod Kairu!

Dawniej „mumja" było przezwiskiem szpetnem, dziś jest najmilszym komplimentem. Ale już nie długo. Okazało się bowiem, że można przez lat tysiące być spętanym, gdy się spoczywa w grobie lub stoi w muzeum, ale trudniej jest być mumją żywą dłużej, niż przez jeden sezon.

Więc temperament uniósł modę i nagle uczyniła skok, któregoby jej pozazdrościł najlepszy „lekki" atleta, popisujący się na olimpjadzie paryskiej. Czyż można skoczyć w wąskiej spódniczce? Otóż nie. I właśnie dlatego nastąpiła mała korekta: klosz!

Jeszcze, jeszcze królewski nakaz despotycznego Tutankhamena trzyma modę „na uwięzi", ale już tajny spisek przygotowuje rewolucję pod hasłem: „Chcemy chodzić!"

Wszechwiedzący Ozyrys potrząsa wagą, symbolem swego władztwa sprawiedliwego i, uśmiechając się pobłażliwie wąskiemi wargami, orzeka dziś to samo, co przed tysiącami lat: „zważono cię i znaleziono lekką". Moda przyjmuje sprawiedliwy wyrok, bo smukła linja sylwetki będzie mimo klosza — zachowana.

W przedpokoju ironicznego boga faraonów podaje czarny niewolnik zadowolonej z audjencji modzie półpłaszczyk sięgający do kolan i lśniący mały cylinderek. Jak sądzić z materjałów w kratę i właśnie z owego cylindra, moda weszła na jesień w bliższe stosunki z John Bullem. Tym razem będzie to już wyższa polityka.

NINA

Jesień

Najdokładniej wyzłocona słońcem i wiatrem, wzmocniona morzem i forsownie wychudła, piękna i wytworna Pani wróciła dziś do miasta. Uśmiech jej malowanych ust jest pełen dużego zadowolenia z siebie, a grymasu dla tych, którzy, krążąc między murami miasta, zdołali zapomnieć, jak wygląda słońce i znudzić się przedewszystkiem sobą.

Piękna kobieta ma najmodniejszy kostjum, świetny kapelusz z krosami i nowe perły w uszach. Piękna Pani ma cały szereg nowych, połyskujących drobiazgów, co przy zupełnie złotej cerze stanowi niepokojącą całość.

Przy złotej cerze ogromnie efektownie wyglądałby nowy przyjaciel, którego, niestety, nie dało się przywieźć ze sobą.

Pani mruży oczy, mile wspominając. Na tle niebieskiego, jak kwiat indygo, morza, ciemny bronzowy tors z białą przepaską na wąskich biodrach. Stał przed nią sprężysty i mocny na muskularnych kolumnach nóg, wrytych po kostki w gorący piasek plaży. Mówił, śmiejąc się radośnie dwoma rzędami białych, jak śnieg zębów, a głos był upajający, jak wino, które pili pod pachnącemi drzewami magnolji, gorący, jak jego usta i dłonie. O jakże bardzo byłoby jej do twarzy z tym człowiekiem tutaj!

Czy jednak? —

Pani ma za duże poczucie stylu na to. Nie, ten ciemny, południowy człowiek z barokową, żywą rzeźbą mięśni pod skórą gladjatora — ten człowiek jednak musiał zostać na niebieskim tle morza i złotego piasku. A Pani wróciła do miasta.

Miasto jest szare, ludzie trochę smutni, albo rozbawieni za gminnie, na ulicach jesienny wiatr, a we wnętrzach domów wszyscy jedynie czekają na zimę.



Pani ma mnóstwo nowych toalet, fascynujące negliże i duże zrozumienie sytuacji — a w dziedzinie sentymentu na razie puste miejsce.

Tak, ten nowy przyjaciel na okres jesieni musi być zupełnie inny, może bezkarnie pod świetnie skrojonem ubraniem kryć braki budowy, może bać się zimnej wody i nie znosić słońca — ale musi mieć inteligentne zrozumienie całego wdzięku jesiennego popołudnia. Musi umieć przygotować w garsonierze czarną kawę, ładnie rozkroić pachnące podzwrotnikowe owoce i klęcząc z umiarkowanym patosem, podać do samych jej ust kieliszek mocnego likieru. Mówić powinien słowa monotonnie, równo, z którychby Pani mogła jednak domyślić się ogromnego uczucia, bliskiego nawet katastrofy, ale z uwzględnieniem całej dyskrecji w stosunku do jej prywatnego życia.

Wtedy suknia Pani będzie mocno pachnieć perfumą, zmieszaną z gorącym zapachem skóry, oczy z poza rzęs zasnują się leciutką mgłą sentymentu, a usta muszą być bardzo czerwone i trochę jednak ironiczne.

W takiej sytuacji Pani czuć się może nawet — nieźle.

Wracając późnym jesiennym zmierzchem, cieszyć się będzie, że w domu przywita ją uśmiechem pokojówka, nakrywająca stół do kolacji, nowa książka przy łóżku i wreszcie pełen tkliwego sentymentu uścisk męża, — uścisk, który, budząc maleńki niepokój sumienia, da uśmiech pogody i konieczną równowagę na cały szereg, mających kiedyś jeszcze nastąpić — dyskretnych szaleństw.

IRENA POKRZYWNICKA

STARY DAIMLER I MŁODA MINERWA

(Nowela ekscentryczna, osnuta na tle ostatniego Raidu samochodowego)



Pani Helena Poboska, młoda, urocza blondynka, ma zmartwienie. Zmartwienie kolosalne: Nie pojedzie na Raid!

Zawiodły obietnice zaprzyjaźnionych z nią członków Automobilklubu; nie pomogły prośby i zaklęcia, obficie pokropione łzami... Pewien znany pan, który na Raidzie będzie Vice-vice-Komandorem, a może nawet — Podstarszym Komisarzem, uchylił się... Nie, ściślej mówiąc — poprostu skrewił!

— Niema miejsca! I już!

Pani Helena jest w rozpaczy. Najprzód, dowiedziała się, że podobno Nina Czorsztyńska jedzie... Nina jedzie, a ona nie! — Następnie, zorjentowała się, biedactwo poniewczasie, że dwa kostjumy rekordowe (z fioletowego zamszu — i z bronzowego jedwabiu), tudzież pięć czapeczek automobilowych, dwa płaszcze, trzy hełmy i ośm par okularów — kupiła zupełnie niepotrzebnie...

— Można umrzeć z irytacji!

Pan Kajetan Poboski ma sądny dzień. Próżno tłumaczy żonie, że jak nie można, to nie można... Pani Helena dostaje migreny, potem — nerwicy serca, potem — spazmów.

— — — — — — —

Ostatecznie, okazuje się, że ta wstrętna Nina Czorsztyńska także nie jedzie. I dla niej zabrakło miejsca. Ale to tylko na sekundę poprawia humor pani Poboskiej. Start, oświetlony reflektorami, niesłychanie efektowny, odbywający się o północy, odczuwa zawiedziona pani, jak osobistą zniewagę! Rozszarpałaby chętnie Prezydjum Automobilklubu za tłumy, zebrane na Saskim placu, za płonące między pelargonjami balkonu — znicze!

Rozszarpałaby pana Kajetana.

Pan Kajetan zmyka do klubu. Pani Helena wraca do domu, posępna, jak noc.

Szwagierce, która ją odwozi, odpowiada na sakramentalne: Bonsoir, Chèrie—jakiemś Uhmwrr...

— (Taka słodka zazwyczaj Heluta!)

„Uhmwrr..." przypomina odgłos Indyj: tak warczą podobno zdenerwowane pantery... Indje — Indjami, ale w tem jest stanowczo jakiś daleki atawizm: pani Helena była niezawodnie w tamtem życiu — panterą. Jaśnie panterę rozbiera do snu Cesia, pokojówka, wzór służących. Dostaje się tym razem Cesi za wszystkie czasy. Czerwona i bliska płaczu opuszcza sypialnię pani. Godzina druga w nocy. Pani Helena zasypia.

— — — — — — —

...Zabawne! Niesłychanie zabawne! — Więc ten pan nazywa się Buic?

— Mister Buic, pan zupełnie nie przypomina mi Jankesa... Naprawdę, nie. Czy pan dawno przyjechał do Polski? Co? — Nie do wiary!—Na Florydzie? Tam jest podobno szalenie gorąco...?

— Om? Który Om? Berenta? Nie? Tamten był trochę większy? — Być może... Aha, z Włoch. — Co pan sądzi o Mussolinim? No, naturalnie, 80% szans, że —

— Fiat... Aha, to z pacierza... Voluntas Tua... Odkąd-że to pacierze klasyfikujemy podług cylindrów...?

— Co? Ten stary pan, to jest właśnie Austro-Daimler?

Stary Daimler podchodzi do ślicznej pani Heleny i ściska ją znacząco za rękę. Właściwie, pozwala sobie zbyt dużo... Słyszane rzeczy, żeby stary Daimler —

— Mój litraż jest znacznie większy od litrażu Oma.

— Dobrze, mój panie, ale co mnie to właściwie może obchodzić...? Poza tem, ta konfidencja...

— Laurin Clement.

— Bardzo mi przyjemnie.

— Jak się pani podoba moja karoserja?

— O... (Czy to dwuznacznik?)

Znowu ten stary Daimler! Nie, to zaczyna być denerwujące! Owszem, bardzo elegancki, ale —

We śnie zaczyna się nagle zdawać pani Helenie, że nie jest już Heleną Poboską, najpiękniejszą blondynką w Warszawie, tylko — Minerwą.

Jednocześnie dokonały się wręcz sensacyjne przeobrażenia z jej przyjaciółkami i znajomemi.

Nina Czorsztyńska zamieniła się nagle w Tatrę. (Ostatecznie, po tej zwarjowanej Ninie można się było wszystkiego spodziewać...)

Mary Siewierska jest Italą. Ni stąd, ni zowąd— Italą. I ma podobno kolaż z Winnickim! Nie, coś podobnego...

Sny stają się coraz dziwniejsze. Nina Czorsztyńska nie daje nikomu dojść do słowa... Speszyła Minerwę. Minerwa myśli: Także coś...!



Fot. Z. Majcherski

WOZY KOMANDORSKIE W PUCKU

Mary Siewierska kłóci się, jak przekupka, o karburator. Naturalnie, wpływ tego Winnickiego. Minerwa postanawia udać się do Hersego i obstalować sobie nieco praktyczniejszy... motor.

— Motor... Kostjum do wycieczek w góry... Radjator... Karburator... Dżemper... Przekładnia... Tailleur... Skrzynka biegowa... Model seryjny... Model extra-dry... WAŁ KORBOWY!!!

(W tym momencie pani Helena Poboska-Minerwa odwraca się na drugi bok — Boże, co za bok! Nie bok, a różany elipsoid!)

Demon snu, miły, jak grzech, nieubłagany, jak Jury Automobilklubu, nawiewa na Minerwę kłąb marzeń. Zupełnie, jak wiatr w górach. Mgły — i opalowe miraże...

Minerwa śni...

— — — — — — —

Więc najprzód, Zamość. Wszystko we śnie. W Zamościu są ruiny jakiejś fortecy, czy czegoś podobnego. Poza tem, w Zamościu słyszy się wciąż o Zamoyskim.

Start na placyku, naprzeciwko żeńskiej szkoły... (Jeżeli to ma być demonstracja, to stwierdzić trzeba, że dosyć trafna).

Potem, do Zakopanego. O Boże, o Boże! Te wiraże...! Minerwa niezbyt lubi wiraże.

Itala nie lubi koni. Tatra...

W Zakopanem, jak zwykle, flirt, Trzaska, Tatrzańska, Morskie Oko, Karpowicz dolewa oliwy, benzyny i... alkoholu.

Z Zakopanego — do Krakowa. Pani Minerwa robi z wdziękiem Kilomètre lancé. (Pod górę! Tu penses bien...!)

W Krakowie nuda i kolacja z modlitwami o zmiłowanie się kelnerów.

— Naturalnie! Znowu ten stary Daimler!

Uśmiechnięty, nachyla się nad panią Minerwą i mówi jej coś o spóźnionym starcie... — Kto? Z kim? Gdzie? Kiedy? — Daimler nagle młodnieje. Rysy jego łudząco zaczynają przypominać niezwyciężonego Liefeldta...

Om „Tut sich wichtig".

Buic coś rezonuje.

Podają paszteciki, faszerowane melancholją. Aha, strajk kelnerów. Trzeba mieć szczęście, żeby właśnie teraz... „Ausgerechnet Bananen"!

Z Krakowa — do Poznania.

Starosta grodzki zaskarbia sobie miłość wszystkich raidowiczów. Smukły Chełmicki pieści się z nim, jak z kochanką.

Lody. Spać.

Z Poznania do Pucka.

Raidowicze przyglądają się jakiejś starozakonnej Fryne: idzie trzy kilometry w tak zwane morze — i wciąż ma wodę po kolana. Jedno z dwojga: albo kąpiąca się piękność jest rosjanką — albo wodę zlikwidował minister Grabski. (System oszczędnościowy).

Stary Daimler znowu smali cholewki do pani Minerwy. — Świetnie zakonserwował się ten człowiek!

Przyjeżdża własnym autem urocza Gistedt. Wznosi się hydroplan. Zmierzch. Mężny Rodryg proponuje wycieczkę na pełne morze. Approbatur. Ale wycieczka nie odbywa się dla kilkunastu powodów. Miano jechać na pancerniku, aliści, okazuje się, że pancernik wyjechał na połów kaczek morskich. Potem przyjeżdża Automobilklub gdański. Bankiet. Toasty. „Za nasze i wasze opony".— Vive Michelin! A bas Pirelli...!

Noc.



PRASA NA RAIDZIE 1924



Fot. Z. Majcherski

CI, KTÓRZY PIJĄ COGNAC

Puck usypia.

Nazajutrz pani Minerwa nie może się ruszyć z miejsca. Fatalność! Ale to samo przydarza się i innym damom. Stary Daimler (patrzcie państwo!) idzie, jakgdyby nigdy nic! Woła pod adresem Mi= nerwy:

— Najważniejsza rzecz, proszę Pani, to szybki i pewny start!

— Mauvais sujet!

Pod Warszawą tłok. Jabłonna.

Kilomètre lancé odbywa się normalnie, oprócz wypadku z Italą. (Zawsze ten figlarz Winnicki!) Itala, wyczerpana szaleństwami swego kochan= ka, idzie powoli... powoli...

Na moście Poniatowskiego — Tout Varsovie i Varsovie=Automobile...

Kwiaty... Zapytania... Odpowiedzi... Uśmiechy... Ukłony... Dreszczyki... Dreszcze!

Człowiek Michelina zbiera laury.

Pani Minerwa —

— — — — — — —

Przebudzenie się pani Heleny było cudowne. Skonstatowała, że pod śliczną maską z crèpe=de= chine radjator jej, wyczerpany wzruszeniami dnia poprzedniego, odpoczął i odmłodniał.

Dwa roztkliwiające, różane punkty (Nie karne!) powiedziały dzieńdobry — dobremu słońcu, zaglą= dającemu do sypialni.

I zrobiło się na świecie jeszcze piękniej, gdy Mi= nerwa, podniósłszy maskę, weszła do białej, cichej, dyskretnej łazienki.

Gdy, po pół godzinie, wonna i sprężysta, powie= działa panu Kajetanowi: Bonjour, mon ami — od= czuł uradowany mąż, że zły humor jego pani minął.

Wyjechał do banku szczęśliwy i pogodny.

Ona zasię, podszedłszy do kalendarza ściennе= go, zawieszonego w gabinecie jej męża — (innych kalendarzy szczęśliwy ten dom nie posiadał) — skonstatowała ze zdziwieniem, że do próby ela= styczności pozostaje jeszcze sześć długich dni, pod= czas których... podczas których zdąży obmyśleć i skrystalizować program toalety, która pogrąży w Jabłonnie: Buica, Salmsona, Mathisa, Cadillaca, Dodgea, Fiata, Laurina, i wielu, wielu innych.

A także bohatera jej snu: Daimlera o niezawod= nym starcie.

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI



Fot. Z. Majcherski

PRZED KILOMETR LANCÉ POD JABŁONNĄ



GRUPA UCZESTNIKÓW RAIDU SAMOCHODOWEGO 1924 R. Fot. Z. Majcherski

PAMIĘTNIK RAIDU

Zamość 7. 7. 24

Skończył się nasz najdłuższy etap. Punkt o 12-ej w nocy wyruszyłam z rzęsiście iluminowanego placu Saskiego na Buick'u Nr. 3, prowadzonym przez p. S. Dobrowolskiego.

Pan Bitschman, wice-komandor raidu nadzwyczaj dzielnie i sprężyście dyryguje wszystkiem, wywołuje Komisarzy sportowych, kierowców i gości w sposób iście wojskowy.

P. Bitschan opuszcza chorągiewkę, i, jak chart spuszczony ze smyczy, zrywa się samochód.

Klub dobrze wszystko obmyślił, organizacja jest wprost nadzwyczajna, we wszystkich miasteczkach, na wszystkich skrzyżowaniach dróg policjanci i dróżnicy stoją, jak żywe drogowskazy, i wyciągniętemi ramionami wskazują nam drogę.

Ranek cudowny, maszyna idzie świetnie, drogi dobre, tylko mamy pecha z oponami, które zawzięcie zbierają gwoździe. Wszędzie robią nam owacje, oklaskują, rzucają kwiaty, samochody prywatne czekają na nas przy szosie, ledwie mamy czas w przelocie kiwnąć im ręką.

Przyjeżdżamy do Zamościa o $12^1/_2$. Wspólna kolacja przy ukwieconem stole zgromadza nas o 8-ej, mamy trochę gości z dowództwa 3-ej dyw. leg., potem nareszcie udajemy się na dobrze zasłużony spoczynek.



„MINERWA" W DRODZE Fot. Z. Majcherski

Zakopane, 9. 7. 24. Dziś cały czas jechaliśmy przez prześliczne okolice. Od Zamościa do Tomaszowa droga ciągle się wznosi, jedziemy przez śliczne lasy. Od Przemyśla zaczyna się już górski teren, dużo zakrętów, więc nie możemy rozwijać większej szybkości, w dodatku jest targowy dzień i moc furmanek, które dobrze nie wiedzą, czy mają jechać na prawo, czy na lewo.

W Zakopanem mamy dzień wypoczynku, wszędzie naszej raidowej kompanji pełno. Przybywają nam dwie maszyny hors concours, dobrze, bo będzie gdzie umieścić osieroconych pasażerów z maszyn, które odeszły.

Poznań 10. 7. 24. Wczoraj na tym najkrótszym etapie dostaliśmy szkołę. Wogóle z powodu trudności terenu, karne punkty sypią się, jak grad, tylko cztery maszyny są wolne od tego nieszczęścia. Mój Buick, będąc najdłuższą maszyną z całej kom-



POSTÓJ W PUCKU



POSTÓJ W ZAKOPANEM



ZWYCIĘSKIE TATRY W PUCKU

Fot. Z. Majcherski

panji, ma szalenie trudne zadanie na piekielnych zakrętach do Morskiego Oka, ale Dobrowolski sobie doskonale z tem radzi. W Morskiem Oku pan Majcherski fotografuje nas na wszystkie boki.

Ruszamy nareszcie zpowrotem. Przelatujemy z fantazją kawalerską przez Zakopane. Przed Nowym Targiem coś stuka — resor pękł. I my musimy odwiedzić kowala—czynimy to z rozpaczą. Boże, te karne punkty!... W dwie godziny kierowcy zdejmują i nakładają nową lagę, a ten biedny motor wciąż idzie, żeby nie naruszyć non stopu. Przyjeżdżamy do Krakowa na start w Rynku dopiero koło 11-ej w nocy, zmęczeni, zdenerwowani spodziewanemi karnemi punktami, w dodatku mamy tylko dwie godziny snu, bo odjazd o 4-ej rano. Nie czuję się tak bardzo zmęczoną, nerwy trzymają tylko się niepokoję o kierowców, którzy przecież i fizycznie i nerwowo bardzo ciężko pracują. Wyruszamy, jakoś to idzie, drogi z początku marne, okolica śliczna. Na Śląsku zaczynają się świetne szosy, wyciągamy przeszło 100 na godzinę. Wszędzie, gdzie przejeżdża się przez byłą granicę, odrazu się to bardzo ostro odczuwa, zupełnie inny charakter budynków, wygląd i zachowanie się ludzi. Przelatujemy przez Katowice, Częstochowę, Wieluń, Ostrów pod Poznań. Drogi wspaniałe, ciągle idzie się koło stu. Zatrzymują nas pod Poznaniem, bo ma się odbyć próba elastyczności motoru.

Puck, 11. 7. 24. Dziś bardzo lekki etap. Drogi wspaniałe, pogoda śliczna, wypoczęliśmy, dobrze się jedzie. Okolice na Pomorzu bardzo ładne, zwłasza koło Kartuz aż do Weyherowa. Pagórki zalesione, śliczne jeziorka, jakiś ogromny las pełen liliowych dzwonków, jednem słowem, jak się mówi na Podlasiu „wesoła okolica". W Pucku oglądamy trawlery, chcemy jechać na Hel, ale niema czasu, bo na kolację przyjeżdżają członkowe Gdańskiego Automoklubu, przemawiają, wnoszą różne zdrowia—nastrój bardzo dobry. Wszystkie maszyny, które wyszły z Zakopanego, trzymają się, ale już przychodzi myśl, że jutro to się wszystko skończy — a szkoda.

Warszawa, 12. 7. 24. No, i skończył się raid triumfalnym pochodem setki samochodów.

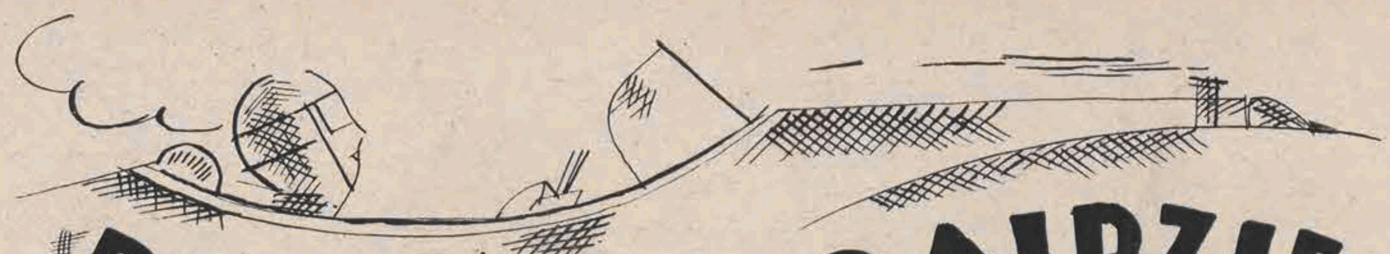
Drogę mieliśmy bardzo dobrą ale dziś najmniej malowniczą, przez Gdańsk, Tczew, Grudziądz, Rypin, Sierpc, Płońsk, Modlin. Ponieważ, jak zresztą codzień, mieliśmy swoją przepisową porcję zmiany trzech opon, Dobrowolski jedzie jak djabeł. Między Jabłonną i Henrykowem kilometr lancé. Moc publiczności, urządzającej trybuny z rowów przydrożnych, samochodów prywatnych i klubowych. Wpadamy jak bomby do Warszawy i na moście Poniatowskiego robimy ostatnią próbę elastyczności silnika na 300 metrów. Samochody nasze wszystkie obłocone, my brudni, zakurzeni, zmęczeni, ale triumfujący, że dojechaliśmy. Każą nam stać bardzo długo, ale już jesteśmy w domu, więc to nic nie szkodzi.



BENZYNIARNIA OLEUM I TATRY W KRAKOWIE

Fot. Z. Majcherski

E. ROMEROWA



PANI NA RAIDZIE

„Pani“, wybrała się na raid. Ostatnich kilka dni przed wyjazdem upływa „Pani“ na gorączkowych przygotowaniach, podróży po magazynach mód celem nabycia płaszcza, paru kapeluszy, kostjumów itd. Po drodze „Pani“ trafia do „Komispolu“, gdzie, olśniona pokazanemi jej wspaniałościami, kupuje: pięć neseserów (od przybytku głowa nie boli), hełm automobilowy, okulary dzienne i nocne, rękawice, waterproof, łódkę składaną (licho wie, co się na takim raidzie zdarzyć może) i wiele innych przedmiotów użytku sportowego, przydatnych we wszelkich okolicznościach życia.

Pierwszy dzień raidu odbywa „Pani“ z inż. Liefeldtem na Austro-Daimlerze. Znakomity kierowca z równie dobrą maszyną zlewają się w doskonale sprawną całość, wiozącą „Panią“ bez najmniejszego zmęczenia.

Drugi, niezmiernie trudny etap, górski, prowadzący przez Karpaty i Tatry do Zakopanego, zastaje „Panią“ na samochodzie Minerva, prowadzonym przez p. Janssena, znakomitego kierowcę belgijskiego, który, mając na tym etapie kolosalne pole do popisu, pokazał, co potrafi.

Z Minervy przerzucono „Panią“ na malutkiego OM‘a, prowadzonego przez inż. Mrajskiego, który prowadzi spokojnie, rozumnie, aby przypadkiem nie uszkodzić maszyny, przybywa też bez wypadku do Krakowa.

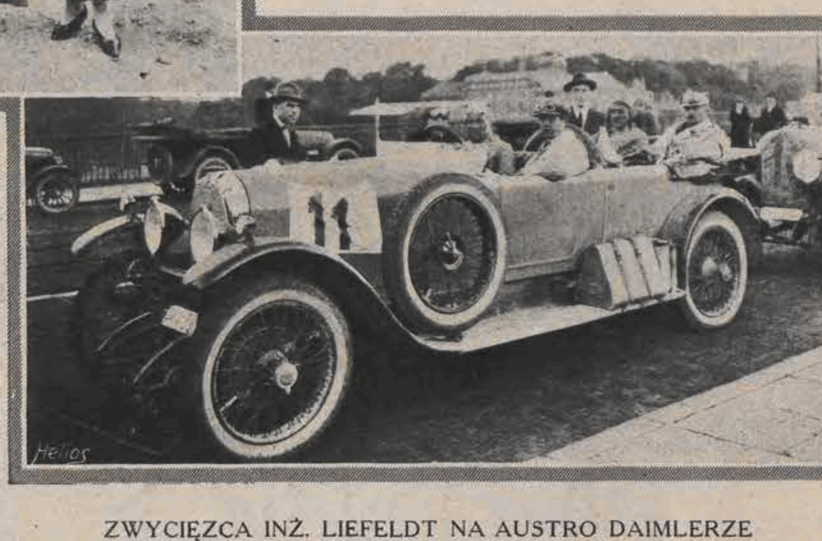
Po OM‘ie przychodzi kolej na Italę Winnickiego, który naprawdę zajadle bierze udział w konkursie, nie bacząc bowiem na straszny wypadek i zatarcie kierownika, uparł się, że dojedzie do Warszawy i dojechał. Ale też Winicki to djabeł wcielony, ciągnie sto trzydzieści pięć na godzinę i tylko się uśmiecha. Z Poznania do Pucka mknie „Pani” w Minerwie inż. Zeydowskiego, który, jako „magister elegantiae”, wiezie „Panią” wytwornie, bawiąc ją miłą rozmową.

Ostatni etap podróży z Pucka do Warszawy odbywa „Pani” na maszynie vicekomandorskiej Fiat, kierowanej przez pana Józefa Grabowskiego. I jeździec i samochód przypadają „Pani” mocno do serca, Grabowski wiezie bowiem wygodnie, jak w kolysce.

J. Orłowski



UCZESTNICZKI RAIDU 1924



Fot. Z. Majcherski

ZWYCIĘZCA INŻ. LIEFELDT NA AUSTRO DAIMLERZE



PRZEDSTAWICIELKI PRASY
NA RAIDZIE



Fot. Z. Majcherski

INTERWIEW



NA STANDZIE W ZAKOPANEM
MAŁA ROZGRZEWKA



PANI CYBULSKA
PROWADZĄCA AUTO W DRODZE
ZAKOPANE—MORSKIE OKO

O Sporcie djalog z Panią żałosny





— Czy Pani interesuje się sportem?

— Ależ, oczywiście! Któżby się tem nie interesował w naszych czasach. Skąd Pan przybywa wogóle, żeby nawet zadawać takie pytania?

— Prosto z Olimpjady paryskiej, o Pani. Obserwowałem, słuchałem, starałem się poinformować... I to, co widziałem, zaniepokoiło mnie w najwyższym stopniu o przyszłość naszej planety.

— Żartuje Pan! Nie uwierzę, żeby Pan, literat i z Paryża, mógł być takim zacofańcem. Bawi się Pan w paradoksy.

— Paradoksy? Twierdzę z całą powagą, że mania sportu zagraża podstawom bytu ludzkości.

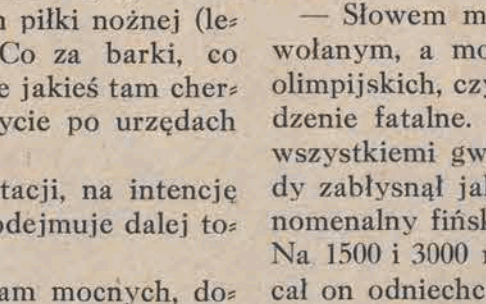
— Koszałki-opałki. Nie uda się Panu mnie nabrać. Czyż sport właśnie nie wyrabia dyscypliny, nie podnosi kultury moralnej, nie wzmacnia zdrowia fizycznego młodzieży? Proszę no spojrzeć na tych atletów — choćby z drużyn piłki nożnej (leciutkie, tęskne westchnienie). Co za barki, co za nogi — wspaniali chłopcy! Nie jakieś tam cherlaki, co wysiadują przez całe życie po urzędach i biurach...

(Po krótkiej, a zbożnej medytacji, na intencję „wspaniałych chłopców", Pani podejmuje dalej tonem doktoralnym):

Sport polepsza rasę. Dajcie nam mocnych, dobrze zbudowanych mężów i...

— I? — wtrąciłem dyskretnie.

— Et! Pan to już zawsze! No i — ojców, ma się rozumieć — rzecze mi Pani, wstrząsając z filuterną przekorą grzywką, krótko przyciętą nad karczkiem powabnym — a zobaczycie wówczas, jaką piękną stworzymy wam ludzkość.



(W głosie Pani zadrgały nutki lirycznego patosu, brzemienne marzeniem).

— Chciałaby więc Pani na męża albo na przyjaciela... w znaczeniu idealnem, oczywiście... na myśli mam platońską przyjaźń mężczyzny z kobietą... Pani wszak wierzy w jej możliwość?

— Zbytecznie Pan się tłumaczy! — przycięła złośliwie mi Pani, — wiemy oboje, o co Panu chodzi. Proszę już mówić do rzeczy.

Odetchnąłem z ulgą, gdyż jakoś ciężko mi było wybrnąć z wybojów platonicznych owej przyjaźni.

— Słowem marzy Pani o takim sportowcu zawołanym, a może nawet o zdobywcy rekordów olimpijskich, czy światowych... Bogowie, jakie złudzenie fatalne. Proszę tylko posłuchać. Ponad wszystkiemi gwiazdami na firmamencie Olimpjady zabłysnął jako metor olśniewający Nurmi, fenomenalny fiński szybkobiegacz na dłuższe mety. Na 1500 i 3000 metrów, na 5000 czy 10000 m. strącał on odniechcenia rekordy olimpijskie i światowe, jak gruszki dojrzałe z drzewa. A oto, co opowiadali o nim z uwielbieniem jego towarzysze. Nurmi żyje tylko dla sportu, jest świętym, anachoretą (poza tem także inżynierem). Przestrzega zawsze specjalnej djety, nie pije, nie pali i ćwiczy się codzień w biegu. Idzie spać o 8-ej, wstaje o 5-ej z rana. Zapytuję się



tedy: jaki miałaby Pani pożytek z męża, który po pracy i ćwiczeniach codziennych śpi już o 8=ej, i wstaje razem z kurami? Nie wiem, czy Nurmi jest żonaty, ale z góry lituję się nad męczennicą, któraby dała się skusić jego wawrzynami olimpij= kiemi. Żadnych balów, teatrów, rozrywek. I dyscy= pliny rygor rozciągnięty nawet nad słodką tajemni= cą alkowy małżeńskiej. Wszystko uregulowane, po= dług kalendarza i z zegarkiem w ręku, aby, broń Boże, nie uszczuplić sił, nie zaszkodzić „formie" atlety!

— Przeholował Pan. Cóż to za generalizacja? Tacy, jak Nurmi, są wyjątkami.

— Zapewne. A ileż to czasu zabierają sportow= com zebrania, ćwiczenia, popisy, zawody...

— Przerywam tu Panu. Jeśli sport zabiera tro= chę czasu życiu towarzyskiemu, wyrabia zato hart i dyscyplinę, przyzwyczaja do wstrzemięźli= wości od gier hazardowych, pijaństwa i różnych innych nadużyć. Czyż nie jest to piękne?

— Bardzo piękne. Niech że Pani doda, że sport wymaga innej jeszcze wstrzemięźliwości — od wszystkich podniet włącznie do flirtu; w okresie trenowania przed zawodami, każdy atleta, włącz= nie do p. poganiaczy piłki nożnej, musi zachować „czystość" absolutną.

— Och, jak Pan przesadza. Okres sportowy trwa tylko w pewnym sezonie.

— I sezon ten zaczyna się na wiosnę, rozwija przez lato i jesień, aby skończyć się na sportach... zimowych. Co gorsza, jedyna gałąź sportu, którą ongiś uprawiało się przez cały rok boży, a w któ= rej Panie są szampionkami niedościgłemi...

— Nie rozumiem...

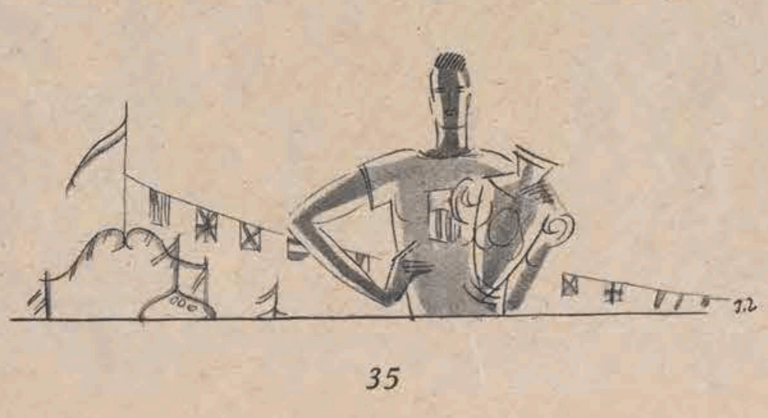
— N a p r a w d ę? Mam wszak na myśli tenfechtunek psycho= logicznypomiędzypar= tnerami dwóch płci, flirtem przezwany... Kukońcowi ma się pa= nowanie tej gry prze= subtelnej, co tyle uro= ku dodawała zarówno zwycięstwu, jak i przegranej jednego, a czasem i obu przeciwników.

— Uśmiecha się Pani sceptycznie... Zbyt pew= na jest Pani swego czaru... A teraz marząco? — Roją się Pani kohorty zgrabnych i muskularnych dzięki tresurze sportowej chłopaków.

Ale choćby taki np. mistrz dziesięcioboju miał siłę Herkulesa i wdzięk Apollina, choćby dosko= nałym był atletą o najświetniejszej formie — i cóż Wam po nim, o Panie?! Dla mnicha z czasów śred= niowiecza kobieta była pokusą i narzędziem sza= tana, groźbą dla zbawienia jego duszy... W zako= nie atletyzmu nowoczesnego lepiej i skuteczniej umieją się bronić przed pokusami. Odpowiedni tresunek, unikanie ostrych potraw, trunków i pod= niet, dobra codzienna fatyga po ćwiczeniach — oto są ich odtrutki i najlepsze hamulce na wszelkie nie= powołane zachcenia. Zresztą atleta prawdziwy ćwiczyć i doskonalić może wszystkie organy swe= go ciała, z wyjątkiem jednego, właśnie najważniej= szego...

— Panie!

— Oj jej! co za groźne błyski w tych ślicznych błękitnych (czarnych, piwnych i t. d., stosownie do wypadku, ew. autora), oczętach. A równocze= śnie ma Pani wielką ochotę się rozśmiać, no, pro= szę się przyznać! Hm, widzi mi się — jakiś szalo= ny domysł wystrzelił w uroczej tej główce! Nie= słusznie, o nieba! Chcę mówić o sercu. Poświęca= jąc wszystko doskonaleniu się fizycznemu, atleci serce ludzkie zredukowali do roli zwykłej pompy ssąco=tłoczącej dla regulowania obiegu krwi. I na tem koniec. Bo jeśli któryś z nich nawet ulegnie urokowi wa= szych w d z i ę k ó w, uważa to w głębi du= szy za grzech i sprze= niewierzenie się wo= bec Bóstwa Sportu.



EDWARD WORONIECKI

KOBIETA NA OLIMJADZIE PARYSKIEJ

Igrzyska olimpijskie wywarły swój wszechpotężny wpływ i na płeć piękną... Uroczy młodzieniec, któremu na imię „sport“, usidłał boską paryżankę. Bogini „moda“ przeniosła się z rozkosznego lasku bulońskiego i pól Elizejskich na twarde „żwiry“ Colombes, Auteil, Argenteuil.

„Match“, „knock-out“, „allez“, „allez“ i miljony przeróżnych innych słówek i terminów „olimpijskich“ sypały się jak z rogu obfitości z uroczych usteczek pięknych paryżanek...

Nie wszystkie jednak sporty były w niewieściej łasce. Boks, footbal, zapaśnictwo, oto jej ulubieńcy... Rzecz to zupełnie oczywista; kobieta lubi emocje, a te właśnie sporty dostarczały ich wiele... Korona Olimpjady—lekka atletyka—mniej ją interesowała. Ale kobieta jest bardzo ciekawa! Bywała też często i w Colombes, by ujrzeć przesławnego „człowieka z zegarkiem”, zwanego inaczej „człowiekiem z żelaza” — Nurmi'ego.

Maratończyk Sternoos, Abrahams i „fruwający” Paddock też byli w jej łaskach... Trzeba było widzieć rozpromienione twarzyczki paryżanek, z których usteczek wylatywały jak z procy niesamowite okrzyki, witające zwycięzców. A gdy „piękna pani” była niezadowolona z rozstrzygnięcia sędziego, wtedy nic jej nie powstrzymało... Przesławne awanturki na zawodach bokserskich podczas spotkania Argentyńczyka Meudeza z Belgiem Delarge nie obeszły się bez udziału płci nadobnej. Nietylko „czułe serduszko”, ale i piąsteczki wtedy przemówiły i niejednemu zwolennikowi zwycięzcy Belga dostało się porządnie po czuprynce...

„Fluid olimpijski“ dotarł i do paryskich „Music hallów”. Folie Bergere, Casino de Paris... zasypywały widza przecudnym widokiem „revues olimpijskich”. Nagie „muzy olimpijskie” ściągały tłumy ciekawych widzów, którzy, oszołomieni przepychem i bogactwem barw, gromkiemi okrzykami witali „rekordy olimpijskie...” pięknych kształtów niewieścich.

Szał olimpijski ogarnął to rozkoszne miasto... „Wszyscy i wszystko dla Olimpjady“ stało się hasłem dnia...

Płeć piękna nie dała za wygraną — i ona stanęła do zapasów olimpijskich. Zasadzie równouprawnienia stało się zadość. W trzech konkurencjach ubiegały się „piękne panie” o palmę pierwszeństwa.

IGRZYSKA SZERMIERCZE GRUPA PAŃ



1) Osier (Danja) 2) Davis (Anglja) 3) Henschseher (Danja) 4) Frernau (Anglja) 5) Tary (Węgry) 6) Barding (Danja)



PANI NOWAK - DUBIEŃSKA
Jedyna polka na Olimpjadzie paryskiej

Szermierka, pływanie i tenis zgromadziły pokaźną liczbę zawodniczek. Jak wszędzie, tak i tym razem Ameryka zdobyła rekord — dławiąc swą masą inne narody...

Imponująco przedstawiała się grupa pływaczek. Zgrabne, wesołe Amerykanki wzbudzały raz po raz wyrazy zachwytu wśród publiczności.

Urocza szampjonka Kaliforni p. Florence Chambers pobiła jednak rekord... To rozkoszne „dziecko olimpjady” w ciężkim było kłopocie, nie mogąc się opędzić od tysiąca chciwych spojrzeć „międzynarodowej płci brzydkiej”...

To też „basen pływacki“ miał powodzenie...

Najwięcej jednak zainteresowania wzbudził wielki turniej tenisowy. Nic dziwnego — brały w nim udział sławy tej miary, co Mis Wills (St. Zjedn.), M-lle Vlasto (Francja), Me-Kane (Anglja) i długi szereg innych. Dotychczasowa mistrzyni świata, słynna francuska M-lle Lenglen do turnieju nie stanęła; pono, jak chodziły słuchy, chcąc odstąpić zaszczytny tytuł swej rodaczce,

p. Vlasto. Przewidywania te się nie sprawdziły... Młodziutka, pełna temperamentu p. Vlasto weszła wprawdzie do finału, lecz została pobita przez doskonałą Miss Wills. Mecz ten był prawdziwą ucztą sportową... Zaszczyciła go nawet swą obecnością, bawiąca w tym czasie w Paryżu, królowa Hiszpanji... 5000 widzów darzyło hucznemi oklaskami przepiękną grę... M-lle Vlasto broniła się jak lwica, parując raz po raz piorunujące ostrze piłki swej przeciwniczki.



DRUŻYNA PŁYWACKA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Miss Wills pokazała grę piękną i spokojną, a górując technicznie nad p. Vlasto, zeszła z kortu zwycięsko, bijąc ją 6 : 2 i 6 : 2. W grze podwójnej pań zwyciężyła para Miss Wills-Wichtman (St. Zjedn.), bijąc w finale Covell-Me-Kane (Anglja) 7 : 5; 8 : 6. Spotkanie to było niemniej ciekawe, niż pierwsze. Amerykanki zatriumfowały w całej pełni!

Trzecią, ostatnią konkurencją na Olimpjadzie, w której brały udział niewiasty, były zawody szermiercze we floretach. Dunki i Angielki okazały się bezkonkurencyjne, dzieląc między siebie 5 pierwszych miejsc. Finał rozegrał się między p. Osier (Danja), a p. Davis (Anglja).

Mistrzynią została p. Osier. W tej dziedzinie sportu zaprezentowała się po raz pierwszy na Olimpjadzie jedyna przedstawicielka polskiej „płci nadobnej", znana narciarka p. Nowak-Dubieńska. Uległa wprawdzie silniejszym od siebie zawodniczkom, jednak swą obecnością w Paryżu zadokumentowała, że sport niewieści w Polsce nie pozostaje w tyle, a przeciwnie, podąża śladem Zachodu...

Oby ten pierwszy występ p. Dubieńskiej na Olimpjadzie był zachętą dla nadobnych naszych pań. Niech z wrodzoną sobie dumą i ambicją przystąpią do „prac sportowych" i za lat cztery większą już grupą po pewne i zasłużone sukcesy zjadą do Amsterdamu.

Paryż, w sierpniu 1924 r.

WACŁAW SIKORSKI



Młodziutka, 17-letnia francuska, Mlle Vlasto, zajęła 2-gie miejsce w grze pojedyńczej pań



FLORENCE CHAMBERS
Mistrzyni pływacka z Kalifornji



Mistrzyni Olimjady w tennisie Miss Wills

TYDZIEŃ STRAUSSA W WIEDNIU

W pierwszych dniach czerwca obchodził Ryszard Strauss sześćdziesięciolecie swych urodzin.

Strauss jest naczelnym dyrygentem opery wiedeńskiej (Staatsoper) i dlatego też Wiedeń wystąpił pierwszy z inicjatywą złożenia mu dowodów uznania.



Rurka kremowa

Obchód był z tak wielkim pietyzmem przygotowany, iż przybrał poprostu charakter święta muzycznego. Za tyle dowodów uznania i hołdu podjął Strauss swych licznych gości urodzinowych, (między którymi był i Romain Rolland), z iście wiedeńską gościnnością, a mianowicie... „kremem".

(„Schlagobers", heiteres Wiener Ballet in zwei Aufzügen).

Tak bowiem nazywa się najmłodszy utwór Straussa, wystawiony po raz pierwszy podczas uroczystości.

Za temat do baletu posłużył Straussowi nie jakiś tragiczny problemat ze sfery Elektry lub Salome, lecz tylko losy małego „Firmlinga" wiedeńskiego. Tytuł baletu zawiera dwa określenia: wiedeński i wesoły. Wiedeńskim jest on dlatego, że jest poświęcony jedynie i wyłącznie „Firmlingowi" wiedeńskiemu, a dlaczego jest on wesołym, zobaczymy z treści.

W żadnym mieście uroczystość bierzmowania nie zaprząta do tego stopnia uwagi publicznej, jak w Wiedniu. W ciągu maja i czerwca dążą we wszystkie dni świąteczne do katedry Św. Stefana sznury powozów, udekorowanych tak obficie kwiatami, że z poza nich zaledwie widać czubki białych kokard lub odświętny kołnierz marynarski. Te wspaniałe pojazdy wiozą właśnie „Firmlingów". Po odbyciu ceremonji kościelnej spieszą zgłodniałe rzesze na pobliską Kärtnerstrasse, gdzie mieszczą się zaszczytnie ze swych tortów i „Schlagober" znane cukiernie.

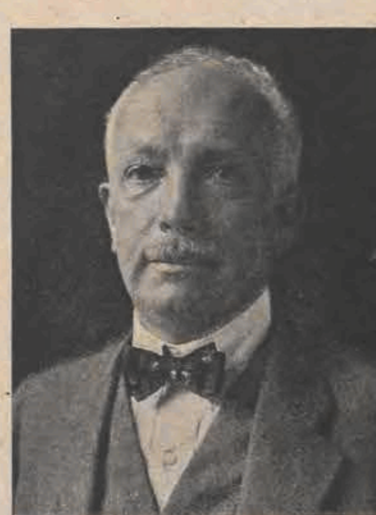


Księżniczka Pralinée

Gdy kurtyna podnosi się, widzimy wnętrze jednej z takich cukierni. Jest w niej pełno „Firmlingów", którzy gorliwie korzystają ze swego przywileju najedzenia się dosyta ulubionemi przysmakami.

Z tego momentu korzysta Strauss, aby pokazać kuchnię cukierni i jej tajemnice. Z licznie nagromadzonych tu puszek zaczyna po kolei wyłaniać się ich zawartość.

A więc najpierw ukazują się marcepany, jako szeregi łuczników i wykonywują wraz z piernikami wojownicze tańce. Następnie zjawiają się: księżniczka Herbata i książęta Kawa i Kakao. Po solowych tańcach tej trójki ukazuje się don Cukiero (w hiszpańskim stroju), który prędko zjednywa sobie względy swych starych znajomych i równie prędko znika z nimi, aby ustąpić miejsca najgłówniejszej osobie tego przybytku. W głębi sceny zjawia się kucharz-olbrzym, bijący zawzięcie krem. Kremu jest coraz więcej i więcej, aż zaczyna wypływać z przepełnionego naczynia i zapełnia wnet po brzegi scenę w postaci młodszego personelu baletowego. Biały, uroczy krem tańczy „Schlagoberswalz'a.



RYSZARD STRAUSS



Małe czekoladki pralinowe z orszaku księżniczki Pralinée

Jeden z „Firmling'ów" jest z powodu spożycia nadmiaru słodyczy, chory i ma gorączkę. Jego niespokojne sny pokazał Strauss w drugiej odsłonie.

Na scenie ukazuje się księżniczka Pralinée wraz ze swym orszakiem. Tańczy ona jeden z najładniejszych walców baletu i znikła z pańskim gestem.



Krem

Po jej zniknięciu ukazuje się na scenie oszklona witryna. W niej mieszczą się niedostępne jeszcze dla „Firmlinga" tajemnice: butelki śliwowicy, likieru chartreuse i wódki! Ich zawartość nie daje na siebie długo czekać. Pierwsza ukazuje się Marianne Chartreuse, w ślad za nią Władysław Śliwowica (w stroju szlachcica polskiego) i Borys Wódka (w ubiorze chłopa rosyjskiego). Śliwowica i Wódka ubiegają się się o względy Marianny. Po krótkim namyśle, ofiaruje Marianna swą rękę Śliwowicy, a wzgardzony Wódka musi się zadowolnić noszeniem jej trenu. (Aluzje polityczne?).

Po tym obrazie znajdujemy się nagle na przedmieściu i widzimy groźny pochód pospolitszych smakołyków, jak słodkich obwarzanków, strucli i t. p., zmierzających do centrum miasta, gdzie znajdują się wrogie cukiernie.

Przy dźwiękach podburzającej polki podżegają ten tłum wschodni magowie w wysokich czapkach.

Zamieszanie dosięga szczytu, gdy na scenie dekoracje poczynają wykonywać niesamowite ruchy. Z chaosu wyłania się powoli Kärnerstrasse.



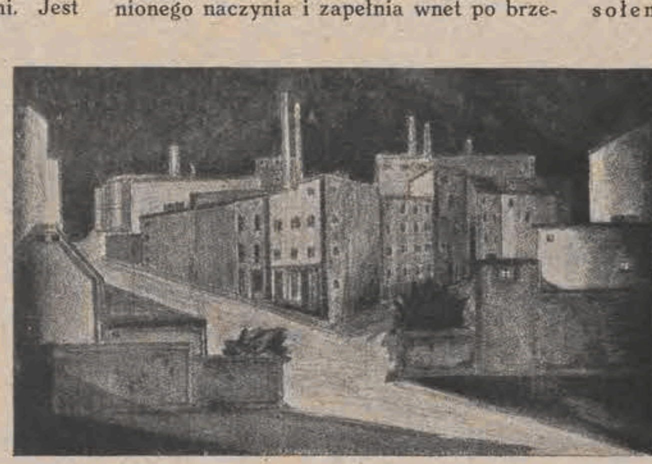
Towarzyszka ks. Herbaty

Tłum zbombardowany czekoladkami uspakaja się i wyraża hołd księżniczce Pralinée.

Krytycy sztuki silą się już teraz wyznaczyć miejsce wesołemu baletowi w twórczości Straussa. Trud ten zdaje się być przedwczesnym, gdyż przedewszystkiem należy się temu wesołemu baletowi bacznie przyjrzeć, bo może w nim jest coś więcej, niż sama wesołość, a może też czegoś tej wesołości brak.

Eugenja Mirska

Wiedeń, w sierpniu.



Przedmieście

Szkice kostjumów pochodzą z „Werkstätte für dekorative Kunst" Bergman, Wiedeń i zostały umieszczone za zezwoleniem dyrekcji.



LAUREATKA NAGRODY „PANI" NA RAIDZIE AUTOMOBILOWYM

p. IRENA JABŁOŃSKA

na Austro-Daimlerze, na którym odbyła całą podróż

Fot. L. Majcherski

JAN ŻYZNOWSKI

W poprzednim zeszycie „Pani" zdążyliśmy już tylko pomieścić wzmiankę o tragicznej śmierci ś. p. Żyznowskiego. Dopełniamy ją obecnie wspomnieniem, charakteryzującem nieboszczyka, jako człowieka i artystę.

Redakcja.

Mówiąc o Żyznowskim, jako o żołnierzu, który z chwałą spełnił swój obowiązek na najkrwawszym z frontów; mówiąc o nim, jako o artyście, krytyku i powieściopisarzu, który do ostatnich, niemal męczeńskich chwil życia nie przerwał swej wielostronnej działalności, — dotykamy części zaledwie tych sił i bogactw, które kryły się w jego żywiołowej naturze, rozsadzanej żądzą życia, twórczości i czynu.

Nie wyczerpały tej żądzy ani trudy wojenne, ani przejścia rewolucji bolszewickiej w najkrytyczniejszym jej okresie. Nie wyczerpała jej, pomimo całej swej w ostatnich czasach obfitości, twórczość literacka i artystyczna. Żyznowski zszedł ze świata dosłownie w pełni sił, które zwolna dopiero zaczynały krystalizować się w twórczości literackiej.

W okresie powojennym, zwłaszcza w pierwszych jego latach, był on jednym z bardzo nielicznych u nas krytyków artystycznych, walczących w obronie młodości i postępu. Jako malarz stał nieustępliwie na stanowisku surowego piękna chwili dzisiejszej, nie poniżywszy się nigdy do najlżejszego kompromisu, lub ustępstwa. Jako powieściopisarz wniósł do najmłodszej literatury pasję temperamentu i rozległość uczucia, wyróżniającą go od pierwszych występów na tle intelektualnej nieco twórczości ostatniej doby.

Temperament ten w chwili śmierci zaczynał dopiero szukać ujścia w sztuce. Do znalezienia właściwej drogi przeszkadzała wielostronność uzdolnień, skłaniająca do przerzucania się z jednej dziedziny w drugą w poszukiwaniu własnych środków wyrazu, przeszkadzała wreszcie rozwijająca się z przerażającą szybkością choroba. Umierając w wieku lat 34, z których sześć pochłonęła wojna i jej następstwa, Żyznowski daleki był jeszcze od spokojnego skrystalizowania, niezbędnego do zrównoważonej pracy artystycznej. W ostatnim dopiero roku twórczość jego zaczynała ześrodkowywać się na powieści; w tej właśnie formie wypowiedział się on stosunkowo najzupełniej.

Trudno jest w tej chwili, pod wstrząsającem wrażeniem katastrofy, zastanawiać się objektywnie nad zaletami artystycznemi „Kamieni ugornych", które wraz z niedokończonem „Podglebiem" stanowią cały niemal dorobek literacki Żyznowskiego. Chciałbym tylko zwrócić uwagę na te cechy obudwu, ściśle ze sobą związanych, powieści, w których najwyraźniej uwydatnił się charakter osobisty autora: na tę pasję i żywiołowość, którą przeniknięte jest całe opowiadanie i która porywa widza, przykuwając jego uwagę do przeżyć Seweryna i Heleny; na umiłowanie energji i czynu, chociażby to był czyn, tak nieświadomy własnego piękna, jak odruchowe niemal i instynktowne bohaterstwo wojenne Seweryna, lub tak nawet okropny, jak zabójstwo Henkla. Przedewszystkiem jednak podkreślić chciałbym głęboką miłość autora do wydziedziczonych i upadłych, miłość, pozbawioną wszelkiej emfazy i sentymentalizmu, a w której uczucie artysty wypowiedziało się może najszczerzej. Tak, jak bohater powieści Żyznowskiego, Seweryn Witan, pierwszy raz zdobywa się na słowo czułości dla siostry, widząc ją zmagającą się z życiem i z jego wieczyście kuszącym grzechem; tak, jak osobliwą tkliwość budzi w nim słabość ojca, który, pomimo bezgranicznej miłości dla dzieci, niezdolny jest wyrzec się swego raju marzeń pijackich, — podobnie sam autor pochyla się z czułością nad otchłanią ludzkiej nędzy, pomimo surowego objektywizmu i realizmu stając wyraźnie po stronie tych właśnie bohaterów swoich, których grzech naznaczył swem piekącem piętnem i usunął poza nawias uporządkowanego społeczeństwa. Żyznowski potrafi wzruszyć nas losem takiej nawet Oli Gabrysiakówny, która poprzez wszystką nędzę upadku, poprzez wszystką poniewierkę po domach publicznych, szpitalach i cyrkułach, nie zatraciła ani poczucia grzechu, ani zachowanej gdzieś z dzieciństwa naiwnej, chłopskiej wiary w sprawiedliwość boską, i która na krótkie przynajmniej chwile odradza się jeszcze w miłości i śmierci. Potrafi on odnaleźć akcenty ludzkie, a nawet rycerskie w duszy takiego urodzonego sutenera, jak Margaj.

Oscylowanie ciągłe między zbrodnią a bohaterstwem jest podstawą psychologji Seweryna. U Heleny dwoistość ta dochodzi do szczytu potęgi, kiedy w ostatniej napisanej scenie „Podglebia" ta dziewczyna, o najniższych, zdawałoby się, instynktach, łamie się w sobie, nie chcąc wyrzec się najidealniejszej, ofiarnej i bezcielesnej miłości dla tych szczątków ludzkich, które z Seweryna uczyniła wojna.

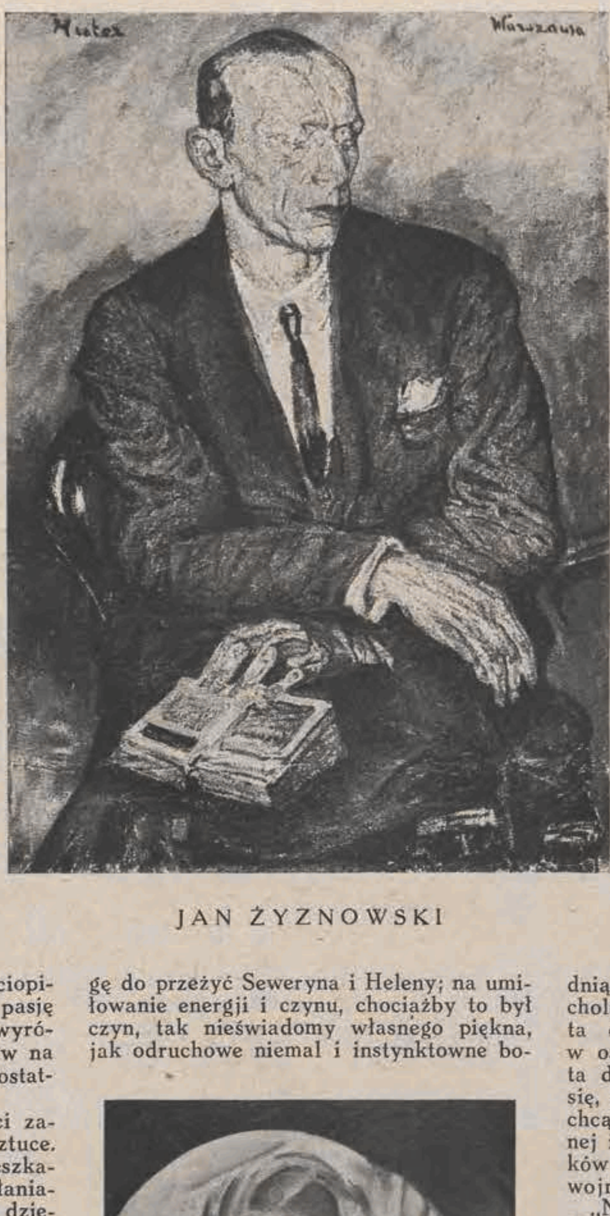
„Na wyrazy miłości, jaką go darzyli rodzice, Seweryn zazwyczaj odpowiadał milczeniem, mimo, że wszystkie codzienne na życie skargi matki rozrzewniały potem samotne myśli jego; wczulały się do serca ciepłym strumieniem tkliwości, zdolnej wycisnąć z ponuro spoglądających oczu wielkie, tajone łzy".

W tej charakterystyce swego bohatera zawarł Żyznowski sporo cech własnego usposobienia. Z pozoru zamknięty w sobie, surowy, twardy, taił w sobie uczuciowość prostą i głęboką. Była ona tem serdeczniejsza, im bardziej ukryta i zapadła w głębi.

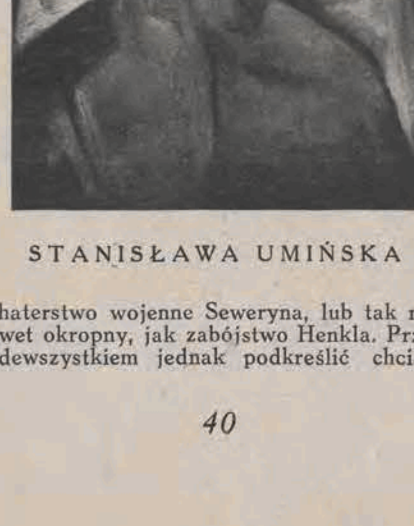
Nie zabrakło go nigdy tam, gdzie trzeba było stanąć w obronie sprawiedliwości; czy to było na froncie wojennym, czy w niekrwawych, a jednak jakże zaciętych walkach o nowe piękno i nowe formy w sztuce.

Przeżył dramat swego życia, jako obrońca dobrej sprawy.

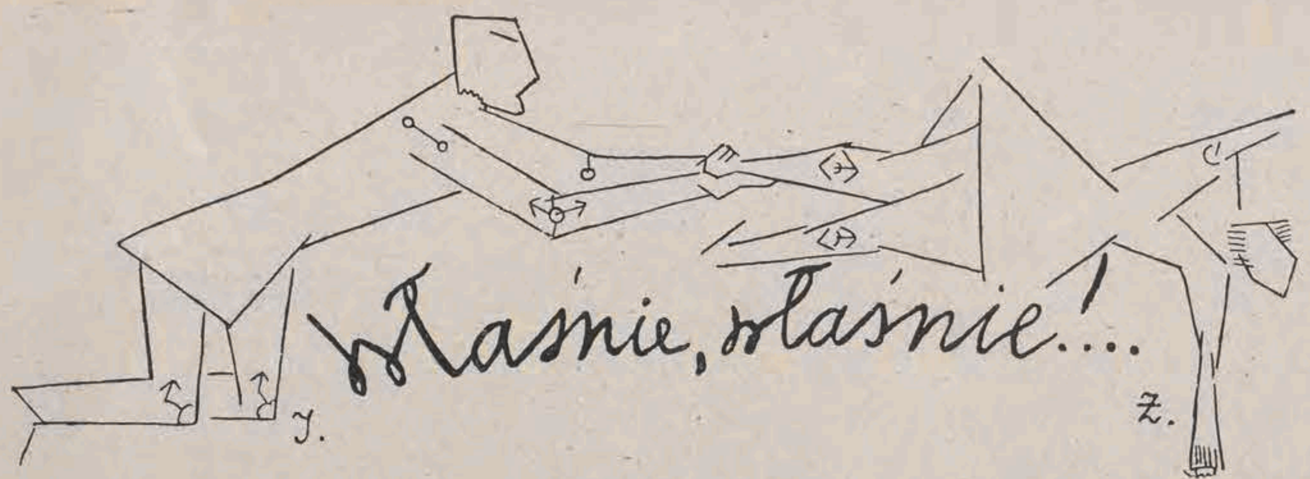
WACŁAW HUSARSKI



JAN ŻYZNOWSKI



STANISŁAWA UMIŃSKA



literatura

Z POWODU ŚMIERCI JÓZEFA CONRADA-KORZENIOWSKIEGO. „Któż z nas nie miał swej ziemi obiecanej, swego dnia ekstazy i swego końca na wygnaniu?" — takie motto kładzie Conrad na wstępie pierwszej swej książki „Fantazja Almayera", wydanej w roku 1895-ym, a rozpoczętej jeszcze w 1889-ym, kiedy kończąc długi okres tułaczki po wodach „płytkich i głębokich", osiada na lądzie stałym i rozpoczyna nowy, równie fantastyczny i bogaty w wydarzenia, długi szereg lat pracy i triumfów. Teraz to życie, na dwie części przepołowione nieugiętą wolą, życie wytrwałego, odważnego i rozumnego marynarza i życie pisarza niezwykłego, uczciwego w tym drugim zawodzie, jak i w pierwszym, zamknęło się.

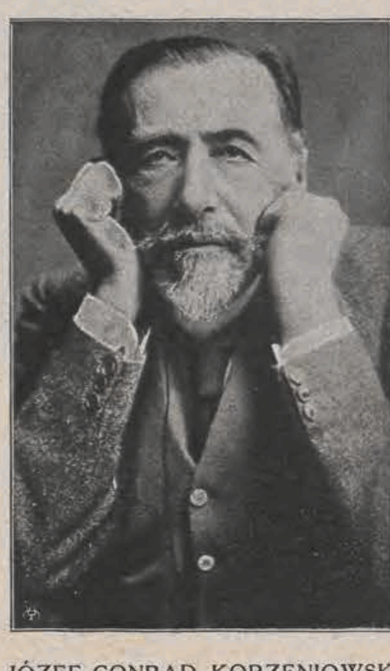
Umarł człowiek niezwykły. Nietylko pisarz wielki, bodaj, że największy z współczesnych pisarzy świata, a i człowiek— umysł, serce, hart ducha niezwykły, niepospolity.

Dwadzieścia parę lat życia, spędzonych w samotności — bo czyż innem jest życie na statku, zagubionym w bezmiarze wód, w ciągłej świadomości bezgranicznej tajemnicy pod sobą i nad sobą, obcowanie z ludźmi, których samo istnienie jest tajemnicą, rzuconą nieubłaganemi losami na dalekie, kwitnące, czy nędzne wyspy-perły czy wyspy-cmentarzyska, cała feeryczność otaczającego życia, raz milczenie, powaga i cisza żywiołu, kiedyindziej bezrozumna jego wściekłość i rozpętanie, to znów hałaśliwość wielojęzyczna portów, czarownych tysiącem możliwości, bezmierne światy, rozpięte wśród rozmaitych długości i szerokości geograficznych, wykreślonych na mapie, jak zmarszczki wiecznej zadumy i doświadczenia na czele globu—wszystko to, co się na życie tego polskiego, biednego chłopca-tułacza złożyło,— czyż mogło wydać inny plon, niźli wszystkie późniejsze książki.

Mądrość, a przedewszystkiem uczciwość, uczciwość patrzenia, przejrzenia każdej chwili, każdego epizodu tej fantazji własnego życia — zrodziły się tam właśnie na dalekich wodach wszystkich mórz świata.

I ten głęboki czar, płynący z książek Conrada, ma źródła w tej wierze, której nie może się oprzeć czytelnik, że wszystko, co pomyślał o życiu, o świecie, o ludziach ten kapitan obcych statków, na obcych morzach jest prawdą, Prawdą, ujrzaną w najgłębszem zbliżeniu człowieka do Boga, niemożliwem do osiągnięcia śród rozgwaru i zgiełku na lądzie, gdzie poplątały się wszystkie najlepsze chęci ludzkie z najgorszemi uczynkami.

Swoisty ów czar towarzyszy każdemu opowiadaniu, które zalążek swój bierze zawsze w wiernem i uczciwem wspomnieniu minionych już burz i przygód. I to właśnie, że Conrad nie pisał, będąc marynarzem, ale pisać zaczął dopiero wówczas, kiedy skończył swą karjerę podróżniczą, mówi bardzo wiele. Zbyt wiele przykładał wagi do swych przeżyć, obserwacyj i przemyśleń samotnych, aby je zaraz, niezwłocznie przenosić na papier.



JÓZEF CONRAD KORZENIOWSKI

Trzeba było dwadzieścia lat patrzeć uważnie i mądrze, aby potem z wspomnień swych, odrzucając bezużyteczny balast pamięci, utrwalić w literaturze to wszystko, co najważniejszem się stało — a mianowicie: swój stosunek do ludzi, do człowieka. I tu zarysowuje się ta zasadnicza różnica z innymi pisarzami, która czyni Conrada największym z pośród nich, a jednocześnie dla nas stanowić będzie niewygasającą dumę, że pisarzem tym był Polak z pochodzenia.

Bo po angielsku piszący i za angielskiego pisarza uchodzący, Conrad w porównaniu z Kiplingiem jest w literaturze angielskiej zjawiskiem tak odrębnem, tak „nieangielskiem", że zjawienie się takiego pisarza dla niej samej było niespodzianką nieoczekiwaną.

Kipling, nietylko piszący po angielsku, ale tak samo po angielsku patrzący na otaczający go świat egzotyczny, na jedną chwilę nie traci poczucia swej przynależności do wielkiego, potężnego narodu. Podczas, gdy dla Kiplinga obcokrajowiec zaczyna być gentlemenem dopiero wówczas, kiedy opuści swój kraj, skończy Oxford i gra w cricket, dla Conrada nie przestaje być każdy napotkany obcy i kolorowy bratem. W najmniejszych szczegółach podkreśla to, stara się jakgdyby uczynić z tego jakiś postulat naczelny. Egzotyzmy dla Kiplinga są jakgdyby jedynie tłem własnych przeżyć, dominujących ponad wszelkiego, przez samą już wykultywowaną świadomość wyższości rasy białej i narodu wielkiego Imperjum, dla Conrada są one dowodem głębokiej łączności wszystkich ludzi na ziemi żyjących, jednako zdolnych w duszy swej zmieścić wzniosłość, bohaterstwo i ofiarę.

Jak odmienną jest psychika Loti'ego, odbywającego swe podróże na wojskowych okrętach, w towarzystwie europejczyków-oficerów marynarki francuskiej, jakimi poznaliśmy ich u Farrère'a. Jak inaczej patrzeć musiały oczy każdego z nich, Kiplinga i Loti'ego, mających własne morza, własne okręty, zawijające do krajów, nad którymi powiewała flaga własnego kraju — i, jak inne myśli ogarniać musiały Conrada, polskiego bezdomnego marynarza.

Że z tej zadumy zrodziło się wiele, że przyczyniła się ona do głębszego wejrzenia w dzieje tysiąca obcych ludzi i przychylenia ku nim serca samotnika-pisarza, nie ulega wątpliwości. Ten właśnie rys, wniesiony przez Conrada do literatury angielskiej, jest czemś dla niej nowem i niezwykłem.

I jak usiłowania innych wielkich pisarzy angielskich, Thomasa Hardy i Georga Meredith, wnoszących do swej literatury odrębne piętno najpiękniej i najgłębiej pojętego intelektualizmu, tak zasługi Conrada, wnoszącego niezwykłą uczciwość psychologicznej penetracji, głęboką prawość i człowieczeństwo — dla literatury nietylko angielskiej, ale i całego świata, pozostaną niezapomniane i wiekopomne.

— — — — — — — — — —

Po całem życiu znalazł Conrad potwierdzenie wszystkich trzech pytań, postawionych na wstępie do pierwszej swej książki. Bo oto swą „ziemię obiecaną" znalazł w odrodzonej swej ojczyźnie, swój „dzień ekstazy" mógł przeżyć, widząc, jak szerokie kręgi zatacza jego twórczość pisarska, wreszcie „koniec na wygnaniu" stał się ostatniem doświadczeniem jego życia, rozlewnego i tajemniczego, jak wody, po których pływał, nosząc w sobie głębokie, istotne dziedzictwo polskiego romantyzmu.

JÓZEF BRODZKI

teatr

„PRAWO POCAŁUNKU" wydane zostało przez Tristana Bernarda i paru jeszcze mniej znanych panów na podstawie najlepszych francuskich recept teatralnych—aż do świetnych przepisów „na dowcip" Caillavetta i de Flersa włącznie. W drugim akcie jest obowiązkowa grande scène à faire, o której myślę lepiej, niż większość moich Sz. Kolegów, że ma coś więcej prócz komizmu sytuacji, że poprostu w jej nieprawdopodobieństwie jest mimochodem może, ale bardzo przekonywujące, sprowadzenie tam, gdzie należy, zawikłanych sporów o równości wszystkich ludzi. Lenin powiedział, że od stóp do szyi jesteśmy równi. Tristan Bernard bardzo dowcipnie,



Międzynarodowa wystawa minjatur w Wiedniu
Karol v. Saar: Hermina v. Rombeck

mojem zdaniem, dowiódł, że istnieją pozycje, w których niema różnic społecznych. Pani Ćwiklińska w obronie tej prawdy ma nieporównaną dykcję, przesubtelny dowcip i najdelikatniejszą kobiecość. Gra rolę, w której nie wystarcza być czarującą kobietą i jest w niej naprawdę wielką artystką od wejścia w pierwszym akcie w przekomicznej, a ślicznej sukni aż do ostatniego słówka tekstu. Pani Sulima wygląda czarująco i doskonale mówi dowcipy, pan Zelwerowicz wzorowo gra rolę nie dla siebie.



Międzynarodowa wystawa minjatur w Wiedniu
Louis Lié Perin: Portret Damy

Teatr „Komedja" grał jeszcze miesiąc po letniej przerwie i już nie istnieje. Wznowił najpierw *„Sąsiadkę"* Jaroszyńskiego dla pana Adwentowicza, który odtwarza po Kamińskim pana Eustachego—figurę-majstersztyk — jak na polskie teatralne rzemiosło. Kamiński, oczywiście, zrobił z niej mozajkę najsubtelniejszych szczegółików — Adwentowicz zaledwie znał rolę, ale miał parę pociągnięć doskonałych. Po „Sąsiadce" uraczono nas swojską krotochwilą p. Zalewskiego *„Maskota"*, o której dosyć chyba mówi, że ją z największym tylko trudem można było utrzymać przez tydzień na afiszu; na zamknięcie sezonu wreszcie poszła *„Jutro pogoda"* Hopwooda. Nazywa się to farsa, ale jest właściwie bar amerykański. Jeżeli ktoś jeszcze wątpi, że w najcięższych mękach katzenjammeru można zachować elegancję—ten, okazuje się, nie widział Leszczyńskiego w jego roli.

Jan Lechoń

sztuka

MADONNY KAROLA STRYJEŃSKIEGO, patronujące szkole przemysłowej pod szarym dachem dwu kapliczek, w których artysta urządził ich zakopiańskie królestwo, zaczną niebawem ściągać pielgrzymki wiernych prawdziwemu wzruszeniu i spragnionych ulgi po domorosłej, ohydnie eksploatowanej podhalańszczyźnie.

Gdy stanie się „pod figurą" pomysłu pierwszego rewizjonisty stylu zakopiańskiego i spojrzy naokół, wówczas najwyraźniej, — najradośniej i najstraszniej zarazem — widać całą nieprzebytą odległość, jaka dzieli te dwie boskie postacie od p. Komendzińskiej i innych, mniej lub więcej bolesnych, stacyj t. zw. sztuki rodzimej.

Trzeba przejść całą kalwarję sklepów z towarem zakopiańskim, by wreszcie, zbłądziwszy przed szkołę Stryjeńskiego, odetchnąć i westchnąć równocześnie: że też w tem miejscu prawdziwego objawienia rdzenności i siły plemiennej można ścierpieć tyle ordynarnej tandety i oszustwa, — wszystko w obliczu rzetelnego wysiłku i umiłowania sztuki! *(w)*





MUZEUM TATRZAŃSKIE nie jest tak groźnem, mimo brzmienia, tematem, by „Pani", szczególnie warszawianka nie mogła się niem zainteresować. Od chwili założenia, do którego asumpt dała grupa warszawian z Ignacym Baranowskim, profesorem Szkoły Głównej, na czele, aż po dziś dzień muzeum bliższe było sercu stolicy, niż jakiemukolwiek innemu miastu.

Prócz tego, z tym bezcennym skarbem etnograficznej i artystycznej góralszczyzny, związany jest szereg nazwisk kobiecych, jak Bronisławy Kondratowiczowej i Marji Bronisławowej Dembowskiej, co, choćby przez snobizm, powinno paniom naszym zaprzątnąć więcej uwagi, niż dotychczas. Korzyść byłaby obustronna, — muzeum weszłoby w modę, a panie chodziłyby do muzeum.

Odkrytoby wówczas i podziwiano rzeczy naprawdę nieprawdopodobne: że je-



Międzynarodowa wystawa minjatur w Wiedniu
François Meuret: Portret Damy

żeli jest gdzie jeszcze jakieś niesfałszowane Zakopane, to przedewszystkiem w czterech ścianach tego muzeum, gdzie niema nic muzealnego, — że ściany te przez 35 lat drewniane, dopiero w czasie wojny, wśród niesłychanych trudności, zdołały rozszerzyć się do rozmiarów murowanego

siedliska, w którem można ostatecznie pomieścić wszystko, co dotychczas gnieździło się po strychach i pakach, — że powstałe z najbezinteresowniejszej miłości, muzeum żyje wciąż jeszcze tylko z niej, co jak wiadomo, nie zawsze wystarcza, — że trzeba wreszcie stworzyć mu t. zw. warunki rozwoju, któreby pozwoliły choćby tylko palić w piecach,—że i t. d. A więc prosimy do wnętrza.



SKOK W ZWYŻ

WYSTAWA WNĘTRZ MIESZKALNYCH W MIEJSKIEM MUZEUM PRZEMYSŁU ARTYSTYCZNEGO WE LWOWIE. Dyrekcja Miejskiego Muzeum Przemysłu artystycznego, nawiązując do chlubnej tradycji przedwojennej urządzania wystaw z zakresu przemysłu artystycznego, zdołała z końcem czerwca pozyskać liczne grono wystawców i dała pokaz lokalnej wytwórczości meblarskiej i kilimkarskiej, oraz artystycznych robót kobiecych (hafty, batiki, koronki). Ułożone ze znawstwem i smakiem w kilku salach, tworzyły miłe wnętrza mieszkalne.

Coprawda, pokaz obecny został urządzony w warunkach niebardzo pomyślnych. Udział pracowni lwowskich stolarzy i to nawet najwybitniejszych, nie był zbyt duży, z powodu znanego powszechnie, ciężkiego przesilenia ekonomicznego, które nie oszczędziło i wytwórczości stolarstwa meblowego. Mimo to wystawa była zajmująca, jako wierny obraz przeciętnej produkcji, której poziom był wcale niepośledni i pozwala rokować pracowniom naszym nadzieje jak najlepsze, skoro tylko warunki pracy się zmienią. Odnosi się to również i do tych gałęzi, które stanowią drugi dział wystawy, kilimkarstwa i artystycznych robót kobiecych.

Co do współczesnych tendencyj artystycznych, panujących w dzisiejszym meblarstwie, panuje przeważnie styl empiru i baroku w zmodernizowanej szacie. Człowiek dzisiejszy bowiem nie znajduje upodobania w dawnych formach, ani w spokojnym empirze, ani w nerwowym ruchu i bujności barokowej, ale raczej w dużych masach i szerokich płaszczyznach, monumentalnie pomyślanych, których sylweta jest ujęta w płynną linję ornamentalnej ozdoby. Niekiedy wieńczy ona szczyt dla silniejszego zaakcentowania architektoniki mas. Tak pomyślana była np. sypialnia z pracowni Władysława Sidora, wykonana z kwiecistego jesionu. Sypialnia z pracowni J. Żychowicza, projektowana przez arch. p. Stahla, wyróżniała się znowu skontrastowaniem jasnych powierzchni z czarną koroną ornamentalnych ozdób. W charakterze empirowym była sypialnia z pracowni Braci Siwek o falistej linji szczytów, w swych kończynach przechodzącej w spiralny stylizowany motyw roślinny. Jadalnia L. K. Czechowicza i gabinet dębowy z pracowni A. Riedla odznaczały się znowu prostotą z pominięciem wszelkich ozdób ornamentalnych. Echa wiedeńskiego stylu secesyjnego widoczne były w meblach z pracowni J. Kochanowskiego. Zwracały też uwagę meble salonowe z mahoniu firmy Iwanowicza, zdobione masywnemi bronzami, przeznaczone dla wnętrz reprezentacyjnych, klubowe garnitury firmy Prokopek, misterne stoliki salonowe firmy Wandio, inkrustowany stolik i skrzypce roboty Ostrowskiego.

Z okazów kilimkarskich wyróżniały się swym poziomem artystycznym i inwencją kilimy, wykonane wedle projektów pp. inż. Indrucha i Neumanna, kilimy Zakładów kilimkarskich przy ul. Janowskiej, oraz lwowskiej i gliniańskiej szkoły kilimkarskiej. Kilka cennych okazów nadesłała pracownia p. Korytkowej.

Z artystycznych robót kobiecych na uwagę zasługiwały hafty i koronki p. Hełm-Birgo, batiki pierwszej szkoły i wytwórni batików i sztuki stosowanej p. Ireny Polak. Hafty białe i koronki p. Wallerstein ogólnie się podobały.

Całości dopełniały piękne kwiaty sztuczne ze znanej pracowni p. Rzepeckiej.

Należy się uznanie Dyrekcji Muzeum, iż, łamiąc się z trudnościami wszelkiego rodzaju, postanowiła mimo wszystko pokaz obecny urządzić. Jest to, łącznie z rozpoczętym cyklem wykładów z dziedziny kultury i sztuki, dowodem, dowodem, że czasowy zastój, na jaki Muzeum było dotąd i wciąż jeszcze jest skazane, nie podciął zgoła żywotności tej instytucji, nie wyrzucił jej poza nawias życia aktualnego.

Władysław J. Terlecki

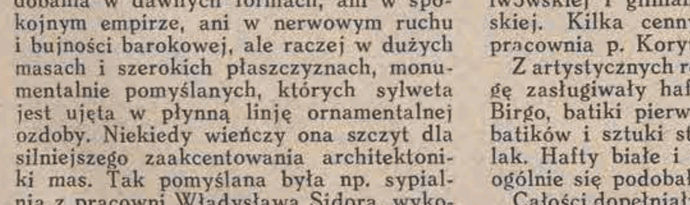
PRZYGOTOWANIA DO WYSTAWY PARYSKIEJ. T-wo „Zdobnictwo Polskie" w ścisłem porozumieniu z Delegatem Rządu i polskim komitetem międzynarodowej wystawy nowoczesnych sztuk dekoracyjnych w Paryżu, organizuje wystawę przeglądową polskiego przemysłu artystycznego w Warszawie w styczniu 1925 r., celem wybrania najlepszych prac na wystawę paryską.

Równocześnie, chcąc wykorzystać wszechświatowy rynek zbytu, jakim jest Paryż, i zapropagować polski przemysł artystyczny, T-wo „Zdobnictwo Polskie" przekazało zorganizowanie odręcznej sprzedaży wyrobów pol. przem. artyst. w Paryżu nowej placówce handlowej p. f. „Polska Sztuka Zdobnicza", powstającej z inicjatywy T-wa „Zdobnictwo Polskie".

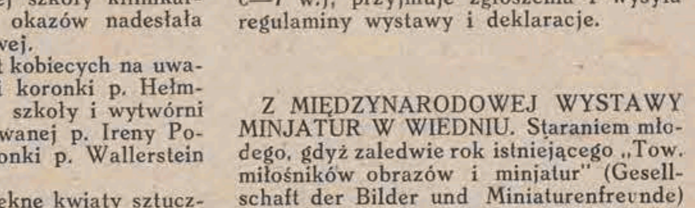
Wobec tych doniosłych poczynań dla polskiej sztuki dekoracyjnej, T-wo „Zdobnictwo Polskie" zwraca się z apelem do wszystkich artystów i wytwórców, pracujących w przemyśle artystycznym, o wzięcie udziału w wystawie przeglądowej, która dostarczyć powinna nietylko eksponatów, odpowiednich na wystawę paryską, lecz i takich, które na paryskim rynku zbytu śmiało konkurować będą mogły z podobnemi wyrobami innych krajów.

Sekretarjat T-wa „Zdobnictwo Polskie" w Warszawie ul. Szczygla Nr. 1 (godz. 6—7 w.), przyjmuje zgłoszenia i wysyła regulaminy wystawy i deklaracje.

Z MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWY MINJATUR W WIEDNIU. Staraniem młodego, gdyż zaledwie rok istniejącego „Tow. miłośników obrazów i minjatur" (Gesellschaft der Bilder und Miniaturenfreunde)



Grupa finlandczyków ze słynnym Nurmim na czele



Drużyna polska na otwarciu Igrzysk Olimpijskich

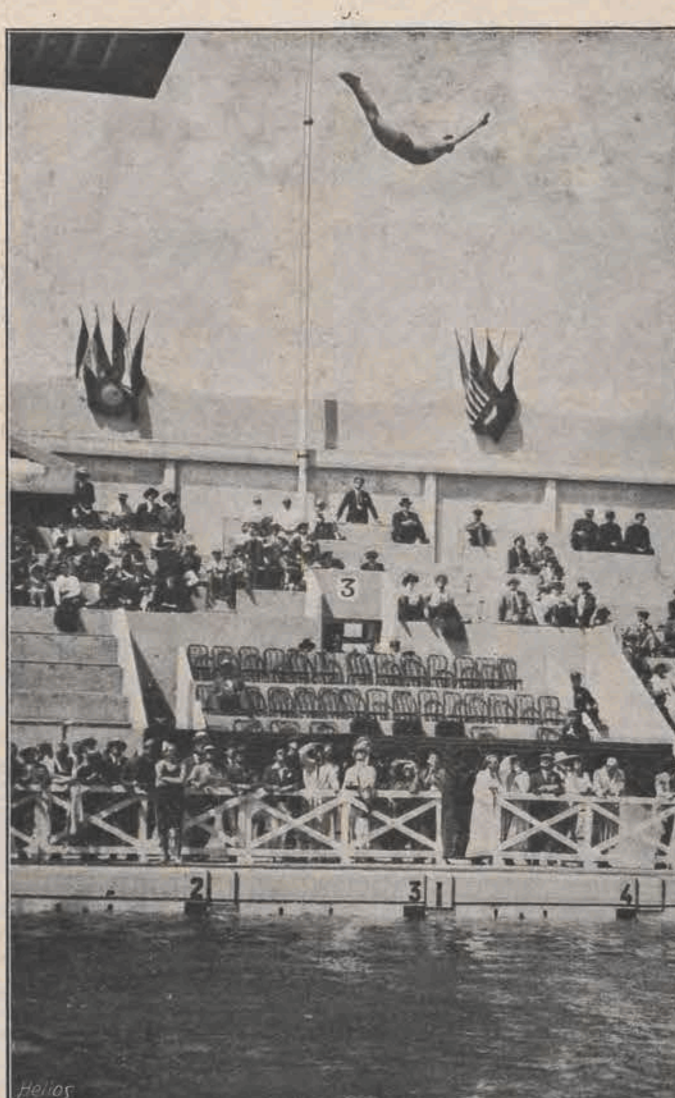
została tu w maju otworzona międzynarodowa wystawa minjatur.

Wystawione minjatury pochodzą prawie wyłącznie ze zbiorów austrjackich. Mimo to reprezentowani są na wystawie prawie wszyscy najwybitniejsi mistrzowie minjatury i z tego względu organizatorzy wystawy nadali jej miano międzynarodowej. W istocie, wystawa ta daje przejrzysty obraz europejskiego malarstwa minjaturowego z ostatnich trzech stuleci. Jednym z głównych celów wystawy było dostarczenie nowego materjału dla tak bardzo dotychczas zaniedbanych badań nad historją minjatury. Cel ten został znakomicie osiągnięty, gdyż zdołano zgromadzić około 1600 minjatur, z których każda posiadała bezsporną wartość artystyczną. Ta poważna suma eksponatów bynajmniej nie reprezentuje całkowitych zbiorów austrjackich. Przeciwnie, brakowało rzeczy bardzo cennych, a to z tego powodu, że ich posiadacze z obawy przed urzędem podatkowym nie odważyli się pokazać swych „miniaturowych" skarbów. *m.*

sport

Z IGRZYSK OLIMPIJSKICH

Olimpjada paryska była najwspanialszem z dotychczasowych przedsięwzięć sportowych... Narody całego świata zjechały do tego wielkiego miasta, by uścisnąć sobie dłoń braterską, zapomnieć o swarach i niesnaskach i rozpocząć szlachetną walkę na polu sportowem.



KONKURS W SKOKACH

Kwiat młodzieży z różnych zakątków kontynentu wykazał, że sprawa kultury ciała i wychowania fizycznego stale kroczy naprzód, że szlachetne współzawodnictwo, jakiem jest sport, zawsze przyświecać będzie ludzkości, że idea, zapoczątkowana w starożytnej Grecji, nie wygasła, a przeciwnie, wykazała całą swą żywotność.

Radowało się serce, gdy przy dźwiękach marsza olimpijskiego, wśród huraganu okrzyków i oklasków, maszerowała brać olimpijska przed trybunami stadjonu Colombes, składając hołd dostojnemu prezydentowi Państwa, który miał zaszczyt gościć u siebie narody świata...

Wśród 45 powiewających sztanadrów dumnie powiewały i barwy biało-amarantowe...

Dorodne postacie polskich lekkoatletów i wioślarzy maszerowały śmiało w wielkim pochodzie narodów. A serca im się radowały, gdy wśród gromkich okrzyków słyszeli i dźwięk mowy polskiej: „Brawo, Polacy"...

Trudno jest opisywać i podawać wyniki ze wszystkich dziedzin sportu... miejscaby na to nie starczyło. Podkreślić należy, że największe zainteresowanie wzbudziły zawody piłki nożnej i korona olimpjad „lekka atletyka".

Egzotyczny Urugwaj sprawił wszystkim przemiłą niespodziankę. Ci wspaniali kuglarze wprowadzili w podziw swą grą sportowców świata. Murzyn Andrade stał się bóstwem Paryża...

Gra Urugwajczyków stała na tak wysokim poziomie, że wszyscy uprzedzeni do piłki nożnej zgodnie oświadczyli, że warto było być w stadjonie Colombes...

Lekka atletyka zgromadziła najwspanialsze gwiazdy olimpijskie. Rekordy pękały jeden po drugim. A dzienniki paryskie pisały: „Dokąd ci ludzie dążą i na jakiej granicy się zatrzymają?". „Mistrzem nad mistrze" okazał się przesławny na cały świat „człowiek-maszyna" — Finlandczyk Nurmi.

Każdemu jego występowi towarzyszyły huragany okrzyków i oklasków. Ludzie padali ze zmęczenia, dostawali porażenia słonecznego— a on biegł sobie 10 klm., 5 klm., 3 klm., jakgdyby nigdy nic — i osiągał nieprawdopodobne czasy.

A Finlandja godnie uczciła swego bohatera. Pomnik za życia będzie dlań nagrodą... Dwaj inni jego rodacy, zwycięzca Maratonu— Sternoos i długodystansowiec Ritola, dzielnie mu sekundowali...

Amerykanie nigdy nie zapomną swej klęski w biegu na 100 mtr.

Anglik Abrahams pobił wszystkich sromotnie. Słynny mistrz Paddoch stał się już zachodzącą gwiazdą.

Pastor szkocki Liddel wprowadził w podziw ludzkość swym wynikiem biegu na 400 mtr. w czasie $47^{3}/_{5}$ sek., a zwycięzca dziesięcioboju, Amerykanin Osborn zachwycał swym przepięknym stylem w skoku wzwyż...

W innych dziedzinach sportu pracowano w pocie czoła. Polo, szermierka, tenis, pływanie, hippika, kolarstwo i t. d., wszystko to uderzało jak grom w widza. Trudno jednak było wszędzie być i wszystko naraz widzieć.



Wspaniałe zwycięstwo Abrahamsa w biegu 100 mtr.



Reprezentacyjna drużyna piłkarska Finlandji w Warszawie



Reprezentacyjna drużyna piłkarska Polski przed meczem Finlandja — Polska (0:1)



Fragment z meczu międzypaństwowego Finlandja — Polska

Mistrzowstwo olimpijskie w ogólnej klasyfikacji zdobyła Ameryka. Zdławiła ona swą masą resztę narodów. I w tej dziedzinie stała się wszechpotężna. Moralnym jednak zwycięzcą pozostanie na zawsze maleńka, 3-miljonowa Finlandja. Świat cały podziwiał i podziwiać będzie bohaterstwo tego mikroskopijnego narodu, który mrówczą pracą doszedł do wielkiej tężyzny fizycznej młodego pokolenia...

— — — — — — — —

Pierwszy występ Polski na wszechświatowej arenie sportowej zakończył się niefortunnie. Tak być musiało... Nie pojechaliśmy do Paryża po laury... Nauka była celem... Lecz oby ta nauka w las nie poszła... Jesteśmy jeszcze „wielkiem dzieckiem w pieluchach" w porównaniu z „potęgami" świata. Byliśmy bici na każdym kroku. Zaledwie kilka jednostek uratowało honor „sportowej Polski". W najważniejszej konkurencji Olimpjady — lekkiej atletyce zostaliśmy na szarym końcu — bez miejsca. Jedyny Cejzik zwrócił na siebie uwagę — jako świetny materjał na przyszłość. Okulicz-Kozaryn spisywał się dzielnie w walce grecko-rzymskiej... był pierwszym Polakiem, który począł nareszcie zwyciężać... i, o dziwo, nie przysłowiowy Meksyk, lecz nawet Szwajcarów i Turków...

Kolarstwo i hippika — oto dziedziny sportu... którym zawdzięczamy rehabilitację...

Dwa ostatnie dni Olimpjady, dni 26 i 27 lipca, były „pierwszemi dniami polskiemi"... pierwszą gwiazdą wschodzącą... nadzieją na przyszłość. Naogół spodziewano się, że jeźdźcy nasi odniosą tryumf na całej linji... Kto jednak był w Paryżu i widział piękne konie zagranicy, przyznać od razu musiał, że będziemy mieli ciężki orzech do zgryzienia.

Nasze stare „weterany" końskie były wielkiem zerem w porównaniu do pełnej krwi rumaków obcych... Żeśmy w przeszkodach zajęli 6-te miejsce, to zawdzięczamy naszym dzielnym kawalerzystom... konie bowiem zawiodły...

Kolarze sprawili nam miłą niespodziankę... Los im sprzyjał...

Po raz pierwszy Polska weszła do finału, a zwycięstwo nad drużyną francuską w biegu na 4 klm., będzie złotemi zgłoskami zapisane w dziejach polskiego kolarstwa.

Zasługa to bezsprzeczna najlepszego naszego kolarza p. Józefa Lange, który jedyny z kolarzy polskich był i będzie groźnym konkurentem zagranicy.

Pełnemu brawury por. Królikiewiczowi, dzielnym kolarzom z p. Lange na czele, niechże będzie wdzięczna Polska cała... Oni to sprawili, że po raz pierwszy sztandary polskie powiały dumnie z masztów olimpijskich... A wzruszającą była chwila, kiedy z pośród szeregów 26 zwycięskich narodów Olimpjady, w dniu 27 lipca wystąpili przedstawiciele Polski... i z rąk prezesa Coubertaine'a odebrali drogą pamiątkę... Oby te drobne zwycięstwa na arenie olimpijskiej były zachętą na przyszłość, były zapowiedzią lepszych w dziedzinie sportowej czasów!

Paryż, w sierpniu 1924. *WACŁAW SIKORSKI*

PIŁKA NOŻNA. Gwoździem ubiegłego sezonu piłkarskiego był bezsprzecznie przyjazd „Amatorów", mistrzowskiej drużyny wiedeńskiej, której trzy występy w Warszawie były trzema nieporównanemi koncertami, trzema arcydziełami stylu i techniki, trzema poematami footballu.

Gra ich bodaj po raz pierwszy pokazała Warszawie, że football, wbrew wszelkim, dziś już zresztą bankrutującym, zarzutom brutalności i gwałtowności, jest najrozkoszniejszym sportem świata, eleganckim, jak tennis, namiętniejszym, niż boks i bardziej emocjonującym niż wyścigi konne, — słowem Amatorzy zawojowali dla piłki wszystko, co dla niej zdobyć można: tłumy widzów, burze oklasków i niezatartą pamięć.

Ich gra polega par excellence na kombinacji. Nogi, władające piłką, jak ręce kuglarza świetlistemi kulami, mają z tej gry tyle, że sporo pozostaje jeszcze na coś innego: na myśl, na zastanowienie, na decyzję szybką, ruchliwą i sprężystą, jak muskuł. Amatorzy nie biegną do piłki, lecz piłka biegnie do nich, dyrygują nią jakimś niewyśledzonym sposobem, korespondują nią między sobą, jakby ta bronzowa skóra wyskoczyła na zieloną murawę po długiej, tajemniczej tresurze.

Wiedeńczycy grają tak, jakby było ich na boisku jedenastu — i nikogo więcej. Przeciwnik miota się, jak szalony, w prawo i w lewo, — oni niemal spacerowym krokiem przechodzą z miejsca na miejsce, z tresowaną piłeczką, jak z psem u nogi.

Trzy ich występy w Warszawie przyniosły im, naturalnie, trzy bezapelacyjne zwycięstwa: nad Warszawianką 8 : 0, nad Legją 7 : 0 i nad Polonią 8 : 3. Tak, te „3" — to wszystko, co zdołaliśmy skubnąć dla siebie, oddając wzamian 23 bramki haraczu. Nie mniej jednak o trójce naszej pamiętać będziemy dłużej, niż o podwójnym tuzinie naszych błędów i nieumiejętności. Strzelców mieliśmy trzech: Bułanowa, Hamburgera i Janka Lotha. Ostatni, bóstwo boisk warszawskich, zdobył się na wspaniały strzał, którego widok trudno stracić z pamięci. Zerwawszy się, jak burza ze środka boiska, pognał ku bramce przeciwnika i po chwili zachwycającego biegu znalazł się sam na sam z bramkarzem wiedeńczyków. Drogę zabiegł mu Lohrmann, rubaszny kolos o wykopie na trzy czwarte boiska i małpiozgrabnych ruchach — jakby olbrzymim wzrostem swoim i szeroko rozwartemi ramionami zasłonić chciał całą bramkę. Pędzący Janek zmiarkował, co mu grozi. Zwalnia na chwilę bieg i— pada strzał. Piłka, posłana do bramki, szybuje przez powietrze. Drogę ma daleką, najmniej 20 metrów. Gdzieś w połowie tego szlaku powietrznego rzuca się ku niej Lohrmann, — i na szczęście nie dosięga! Teraz już przeszkód niema, byle trafiła do siatki. Zamierają oddechy. Tysiące oczu wbija się w szarą plamę, sunącą w górze, jakby popycha ją, przyspiesza jej pęd. Nagle tuż obok narożnika bramki, piłka, jak strudzony lotem ptak zawija pod siatkę, plącze się w niej i pada bezsilna do bramki! Huk oklasków, entuzjazm, okrzyki!

Rozkoszne uczucie sukcesu rzadko było, niestety, udziałem widowni parku Sobieskiego.

Powtórzyło się raz jeszcze podczas meczu międzypaństwowego Finlandja — Polska, który wygrała nasza reprezentacja w skromnym stosunku 1 : 0, mimo, że zasłużyła na wynik o wiele, wiele zaszczytniejszy.

Gra nie przedstawiała ani z jednej, ani z drugiej strony jakiegoś określonego stylu. Chaos biegów i strzałów stwarzał całość niemiłą, a denerwującą, tembardziej, że, mimo stałej przewagi Polski, zespół nasz nie umiał zdobyć długi czas żadnego punktu.

Cały mecz był jednem wielkiem oczekiwaniem bramki, koło której piłka przelatywała kilkadziesiąt razy, nie trafiając nigdy tam, dokąd ją posyłano. Kilka sytuacyj zmarnował Garbień, nie bez pecha strzelał Janek Loth, nie miał też szczęścia Reyman.

Gorzej, niż nasza reprezentacja, grali goście. Byli oni jakby niedysponowani, zatrwożeni, czy też przyduszeni naszą bezsprzeczną przewagą. Nie chciało się wierzyć, że jedenastkę takich graczy wybrał z pośród piłkarzy swoich naród, który szczyci się takiemi fenomenami lekkiej atletyki, jak Nurmi i Ritola. Ale nie gmatwajmy pojęć: lekkiej atletyce nie trzeba



Samochód p. Stattlera (Pannhard & Levassor) na Rolly Paper

Fot. Z. Majcherski

footbalu, tak jak footbalistom lekkoatletycznego wyrobienia i piłkarze fińscy, kto wie czy nie byli lepszymi lekkoatletami, niż footbalistami.

Jaka gra, taka była też i jedyna decydująca bramka. Strzelił ją Reyman z „Wisły" krakowskiej, wjechawszy niemal z piłką do bramki.

Z chaotycznego ruchu na boisku, plączącego się przez półtorej godziny zawodów, wybijał się jeden jedyny obraz o harmonijnej całości. Była to dorobna, podobna do rzeźby postać Kuchara.

Ten lwowianin, filar i duma mistrza Polski, „Pogoni" lwowskiej, długoletni rekordzista Polski w najrozmaitszych dyscyplinach — od skoku w zwyż do długodystansowych biegów łyżwiarskich — trzeci z rodziny Kucharów, czynnych i słynnych sportowców małopolskich, był najlepszym graczem na boisku i jedynym, na wysoką miarę europejską.

Grał na środku pomocy. Był jakby kręgosłupem szkieletu drużyny. Wybierał piłki napadowi fińskiemu lekko i bez trudu, jakby finezją swoją chciał okupić przykrość, którą gościom wyrządzał, rozdzielał je momentalnie między swoich, może nie najprecezyjniej, ale zawsze bez straty czasu i przerywania ciągłości gry.

Znakomicie wytrenowany biegacz, nie tylko nie zdradzał najmniejszego zmęczenia, ale w miarę gry jakby rósł w siły, jakby wzmagał się, coraz szybszy, coraz groźniejszy, coraz bardziej wspaniały.

Świetne opanowanie ciała czyniło z jego wysokiej, twardo powiązanej postaci jakiś żywy posąg wytrwałości, woli i porywającej brawury.

Zawody te były jakby demonstracją jego niezwykłej urody sportowej i triumfującego zdrowia.

Po tej, drugiej, obok Ameryki, wizycie reprezentacji piłkarskiej, czekaliśmy długo na następny mecz międzynarodowy.

Był nim występ czeskiej drużyny „Victoria-Žižkov". Przybyła do nas po świetnych sukcesach w Pradze, w tem centrum footballu kontynentalnego, słynna ze zwycięstw nad Slavią i nad Spartą — słowem, przybyła po jedno więcej zwycięstwo.

Przeciwnikiem jej była „Polonia" i to przeciwnikiem niespodzianie silnym.

Mecz rozegrano na Dynasach, na boisku rozmokłem i bardzo do gry niewdzięcznem.

Przebieg spotkania przeszedł najśmielsze nadzieje mi łośników gry emocjonującej, zmiennej i niepewnej.

Już w pierwszej minucie przez strzał Lotha II, który otrzymał piłkę z pięknego podania Grabowskiego, Polonia weszła w posiadanie pierwszego punktu.

I zwycięstwa tego nie dała sobie wyrwać. Sześć razy dobywano piłkę z siatki. Cztery razy Czesi, dwa warszawianie.

Trybuny szalały z radości, widząc faworytów swoich schodzących z boiska jako zasłużonych, świetnych zwycięzców.

Bo istotnie „Polonia" wykazała niezwykłą siłę bojową, twardość twardość kamienną i nieugiętą wolę zwycięstwa. Na suchym gruncie bojowa tężyzna naszych musiałaby prawdopodobnie ustąpić nieco przed kombinacyjnym systemem wysoko pod względem technicznym zaawansowanych czechosłowaków, — wśród trudnych jednak warunków górę wzięła drużyna, przywykła bardziej do wszelkich trudów i znojów, niż rafinowani i wygodniccy prażanie.

Z kolei rozpoczęły się rozgrywki o mistrzowstwo okręgu warszawskiego, na które mimo kilku oficjalnych pretendentów, jest właściwie jeden tylko godny konkurent, „Polonia". Czy zaszczytny tytuł mistrza zostanie i w tym roku w jej posiadaniu, okaże przyszłość.

Narazie „Polonia" przewodzi w rozgrywkach i w tabeli mistrzowstw jest na pierwszem miejscu, mając za sobą takie zwycięstwa, jak z „Czarnymi" (Radom) 16 : 2, „Varsovią" 10 : 1 i Akademikami 10 : 0.

Z nadziejami na mistrzostwo i wielkim ostatnim sukcesem, wyjechała „Polonia" w początku września w daleką podróż do Turcji. Pierwsze to w dziejach tego klubu tournée zagraniczne, obliczone jest na trzy tygodnie, w czasie których mistrz Warszawy grać będzie z najsilniejszymi zespołami naszych przyjaciół z nad Bosforu.

ROLLY PAPER. Godzina 10 rano. Przed lokalem Automobilklubu Polski rojno i gwarno. Gwar rozmów i stukot maszyn cichnie powoli. Ruszamy. Starter, p. Paweł Bitschan prowadzi korowód samochodów na rogatkę Ząbkowską, skąd ma się rozpocząć nader ciekawy konkurs automobilowy, polegający na odszukaniu samochodu komandorskiego, który na trzy godziny przedtem wyjechał, wysypując trusę confetti i myląc, oczywiście, drogę.

Samochody ruszają pędem i wybiegają na szosę. Kierowcy, pochyleni za kierownikami, pilnie obserwują drogę, aby nie stracić z oczu różnokolorowych papierków, rozrzuconych na brzegu szosy przez komandora.

Konkurs obfituje w masę zabawnych momentów, spotykające się bowiem maszyny mylą sobie nawzajem drogę, tak, że ostatecznie naprawdę niewiadomo, gdzie jechać.

Po długich wreszcie tarapatach maszyny przeważnie dyskwalifikowane dobijają do zacisznego biwaku w lesie pod Wyszkowem. Dwóch tylko kierowców wyszło zwycięsko z tej próby: p. Łebkowski na Mathisie i p. Majewski na Renault.

W bardzo wesołym nastroju, przy dźwiękach gramofonu, spożywamy znakomite śniadanie, przygotowane przez gościnnych gospodarzy. Fotografowani na wszystkie strony przez p. Majcherskiego, który wszędzie wchodzi ze swym aparatem, tak, że wprost uciec odeń nie można, spędzamy bardzo miły dzień.

Wieczorem powrót do Warszawy i rozwiązanie pochodu samochodów przed Automobilklubem.

Nader ciekawy i miły ten konkurs powinien być częściej urządzany, wciąga bowiem masę ludzi do tego miłego sportu.



Samochód p. Majewskiego (Renault) na Rolly Paper

Fot. Z. Majcherski

Wogóle to i owo

KORESPODENCJA „PANI"

Od Pani Ireny Jabłońskiej, laureatki naszej nagrody na raidzie samochodowym 1924, otrzymaliśmy list treści następującej:

Szanowny Panie Redaktorze!

Spieszę podziękować Sz. Redakcji za ofiarowanie nagrody specjalnej, która przypadła mi w udziale, oraz wyrazić uznanie za inicjatywę propagowania sympatycznej automanji wśród pań naszych.

Dziwić się należy, iż tak mało spotyka się u nas kobiet, umiejących prowadzić samochód. W ostatnich jednak czasach zaznaczyć się daje coraz większe zainteresowanie wśród nas automobilizmem i bezwzględnie, tak w porę rozpoczęta przez Sz. Redakcję akcja przyczyni się w dużej mierze do popularyzacji wśród pań tego miłego, pouczającego i eleganckiego sportu.

Ubiegły raid pokazał, iż panie nasze są doskonałym materjałem na automobilistki, gdyż wszystkie dzielnie pokonały fizyczne zmęczenie i niewygody, połączone z tak długą i uciążliwą marszrutą.

Raid ten dał nam, poza emocjami sportowemi i korzyścią zwiedzenia najładniejszych zakątków kraju, bardzo przyjemne wspomnienia towarzyskiego obcowania, co jest dużą zasługą miłych komandorów i gospodarzy raidowych.

Toteż jestem przekonana, iż w przyszłym roku będzie daleko więcej kandydatek na laureatkę nagrody „Pani", która stanie się nagrodą tradycyjną polskich raidów samochodowych.

Proszę przyjąć wyrazy poważania

Irena Jabłońska

Dowiadujemy się, że znana pracownia dekoracyjno zdobnicza, pod firmą „Atelier Artistique" Zgoda 4 została powiększona i przeniesiona do sklepu frontowego. Hafciarnia oraz dział dodatków sezonowych do sukien i kapeluszy zaopatrzona w nowe modele.

Zarówno pomysłowa wystawa, jak i wnętrze, pełne wykwintnych abażurów, oryginalnych poduszek, szkatuł i innych przedmiotów dekoracyjnych są godne zwiedzenia. Życzymy sympatycznej firmie dalszego pomyślnego rozwoju.



Artystki pp. H. Szmolcówna i Z. Pogorzelska oraz autorzy pp. K. Tom, A. Włast i L. Orsza po wyczerpaniu zapasów gotówki, oczekują na plaży w St. Jean de Luz (pod Biarritz) na nowe transporty dolarów od dyrekcji teatru „Qui pro quo".

T-WO LOTNICZE.

We wszystkich państwach, nawet więcej uprzemysłowionych niż Polska, zwrócono szczególną uwagę na rozbudowę przemysłu lotniczego, wyszkolenie pilotów, organizację portów i powietrznych dróg komunikacyjnych.

Na szarym końcu pozostała tylko Polska!

Dziś nadszedł już czas, by dokonać przeglądu i obrachunku sił własnych.

Rachunek ten wypada dla nas fatalnie. I musimy to sobie głośno i po męsku powiedzieć, że lotnictwa w Polsce jeszcze niema!

Cały nasz pięcioletni bilans—to niespotykany nigdzie odsetek katastrof i następujący po nich, a usypiający czujność społeczeństwa, szereg zapewnień, że będzie lepiej!

Jedna i niedomagająca fabryka płatowców w ruchu, trzy inne w nieskończonej perspektywie. Brak nowoczesnych płatowców i ostatnich urządzeń technicznych, kadr pilotów i obsługi i, poza dwoma linjami komunikacyjnemi, stworzonemi nie przez nas samych, ani jednego płatowca cywilnego w powietrzu, ani jednej cywilnej szkoły, ani jednej instytucji dla doświadczeń aero-dynamicznych i konstrukcyjnych, wreszcie, ani jednego aparatu polskiej konstrukcji! Jest to stan naszego posiadania lotniczego po pięciu latach niezależnego bytu wielkiego narodu!

Gospodarka dotychczasowa nie prowadzi do wytworzenia mocnej podstawy dla przemysłu lotniczego krajowego. Kupowanie coraz to nowych typów samolotów zagranicą dla potrzeb wojska, nie wytworzy siły potężnej i niezależnej dla armji! Silna i niezależna flota powietrzna Polski może powstać tylko przez mobilizację całego narodu, przez rozwój lotnictwa cywilnego w czasie pokoju, gdyż lotnictwo wojskowe jest tylko wykładnikiem potęgi lotnictwa cywilnego.

Dlatego musimy obudzić czujność społeczeństwa, by poznało smutną prawdę i żeby natychmiast, bez chwili zwłoki, siłą swej energji, ruszyło na podbój szlaków powietrznych, budując porty lotnicze, szkoły pilotażu kształcąc konstruktorów i mechaników, wytwarzając płatowce polskie, zakładając linje komunikacyjne wewnętrzne i zewnętrzne, popierając sport i turystykę powietrzną oraz wszystko to, co może przyczynić się do stworzenia wielkiego narodowego lotnictwa cywilnego, które podczas dni grozy wojennej, mogłoby na podobieństwo skrzydlatej husarji, łoskotem swych motorów, tysiącami stalowych gardzieli karabinów maszynowych i bomb, odpędzić od rubieży Rzeczypospolitej chciwych cudzego mienia najeźdźców! Niech cały naród weźmie w tem udział! Niech każdy obywatel i obywatelka, bez względu na przekonania polityczne, staną się członkami jakiegokolwiek stowarzyszenia lotniczego, niech nie będzie Polaka, ani Polki, którzyby nie posiadali znaczka lotniczego, jako wido-



P. Marja Brydzińska, Leokadja Pancewiczowa, Jerzy Leszczyński i Bruno Winawer na wakacjach w Karlsbadzie.



mego dowodu popierania idei wielkiej powietrznej floty cywilnej Polski! Niech społeczeństwo napiętnuje obojętnych, jako dezerterów z pod Wielkiego i Ojczystego Znaku!

W tym celu, to jest dla bezpośredniego wytworzenia i zrealizowania narodowej służby powietrznej, powstało Towarzystwo Lotnicze, składające się przeważnie z pilotów i konstruktorów Lotnictwa, które natychmiast przystąpiło do konkretnej działalności, przez powołanie do życia szkoły pilotów dla wszystkich, używając najlepszych nowoczesnych i niezawodnych samolotów, jakoteż i metod szkolenia, otwierając czytelnię pism fachowych całego świata, wydając bogaty w treść własny organ i t. p.

Towarzystwo Lotnicze przyjęło za zasadę popieranie wszystkich usiłowań, tak jednostek jakoteż i grup stowarzyszonych i współpracę z nimi, lecz bezwzględnie stać będzie tylko na straży rozwoju lotnictwa, zwalczając i piętnując wobec społeczeństwa szkodników, którzy zechcieliby frymarczyć bezpieczeństwem kraju, lub lekceważyć życie ludzkie.

Towarzystwo Lotnicze domagać się będzie, by na czele lotnictwa stanęły wybitne i odpowiedzialne jednostki, znane na polu lotniczym, narodowości polskiej, by zaprzestano chaotycznego sprowadzania samolotów niewypróbowanej dobroci, by nie zmuszano fabrykantów krajowych do produkowania takich aparatów, przeciwko którym sami fabrykanci zakładają formalny protest, jako przeciw samolotom bezwartościowym!

Towarzystwo Lotnicze żądać będzie ścisłej kontroli umów z dostawcami, zwalczać będzie niewytłómaczony sabotaż tak lotnictwa, jak i Skarbu Narodowego. Tym, nie przepuścimy niczego, coby ich mogło wydać w ręce prawa lub opinji publicznej, nie szczędząc przytem nikogo!

Wreszcie przebudzać będziemy nasze miarodajne czynniki z ustawicznej śpiączki dla stworzenia życia lotniczego w imię pewności jutra i postępu wielkiego i kulturalnego narodu!

Adres Towarzystwa Lotniczego: Złota Nr. 64, Warszawa.

Czytelnia pism otwarta od 5 — 8 pp.; Sekretarjat od 10 — 3 pp. i od 5 — 8 wieczorem.

HELENA PENKALSKA

Bosonoga tancerka, której występy w Wiedniu i Konstantynopolu cieszyły się ogromnem powodzeniem.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
Warszawa, Wspólna 33, m. 3. Tel. 180-20
Konto Czekowe P. K. O. № 8292. Godziny biurowe od 10-ej do 3-ej.
Nakładem TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO „PANI"
Kierownik literacki KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

ODDZIAŁY REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
we Lwowie, J. Kuczabiński, ul. Turecka 2; w Zakopanem, J. Mieczysławski, willa „Orawa"; zastępstwo na Stany Zjednoczone A. P., The Polish Importing Co. New York, 16 St. Marks Place i Księgarnia Ludowa, 956 Milwauke Avenue, Chicago.

TŁOCZNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO, WARSZAWA.



Farbowanie



Henną

NAJGORĘTSZEM PRAGNIENIEM KAŻDEJ Z PAŃ JEST:

Podniesienie i utrwalenie swej piękności za pomocą modnego, trwałego, naturalnego, falującego uczesania.

Zadość uczynić temu można systemem amerykańskim Nestle'a, gdyż jedynie w ten sposób każdy gładki włos nabiera, z zupełną łatwością, bez żadnej szkody dla włosów, naturalnego wdzięku i cech falistych. Na wieczno-trwałe fale Nestle'a, uznane przez lekarzy, nie wpływa żadna wilgoć, ani deszcz, ani mycie włosów, nie ulegają też one deformacji przy sportach. Dzięki wieczno-trwałym falom Nestle'a, włosy stają się bujne, wonne i rosną szybko.

Przekonać się o skuteczności tego środka można zwiedzając

PIERWSZEGO FALATORA W POLSCE SYSTEMEM AMERYKAŃSKIM NESTLE'A

DENYS'A

OSSOLIŃSKICH 6 (dawniej Czysta), WARSZAWA

DZIECKO

WYTWÓRNIA
UBIORÓW DZIECINNYCH

MOKOTOWSKA Nr. 20

SALON SZTUKI
JÓZEFA POZNAŃSKIEGO

P. F.

„Sztuka i Reprodukcja"

WARSZAWA, SIENKIEWICZA 11

poleca

OBRAZY MALARZY POLSKICH I OBCYCH.
AKWAFORTY, SZTYCHY, REPRODUKCJE DZIEŁ SZTUKI.
RAMY STYLOWE I OPRAWY

MAGAZYN
KONFEKCJI DAMSKIEJ
„WŁADYSŁAWA SUDYK"

Przyjmujemy zamówienia terminowe z powierzonych materjałów na suknie, swetry, bieliznę i t. p.

ROBOTA WYKWINTNA
WYKONANIE SOLIDNE I PUNKTUALNE
WARSZAWA, NOWY ŚWIAT Nr. 12
PRACOWNIA PRZY SKLEPIE

Koronki, Hafty, Nicianki

MARKIZETĘ, OPAL, TIUL I T. P. TOWARY

poleca po cenach przystępnych

J. WILLIMEK

POZNAŃSKA 21 M. 38, PARTER.
TELEFON 115-55



WYKWINTNĄ BIELIZNĘ

DAMSKĄ, MĘSKĄ, ORAZ KOMPLETNE WYPRAWY, TAK Z WŁASNYCH JAK I POWIERZONYCH MATERJAŁÓW

POLECA

BRONISŁAW LISSNER

WARSZAWA, WSPÓLNA 47,
parter, poprzeczna oficyna

LABORATORJUM

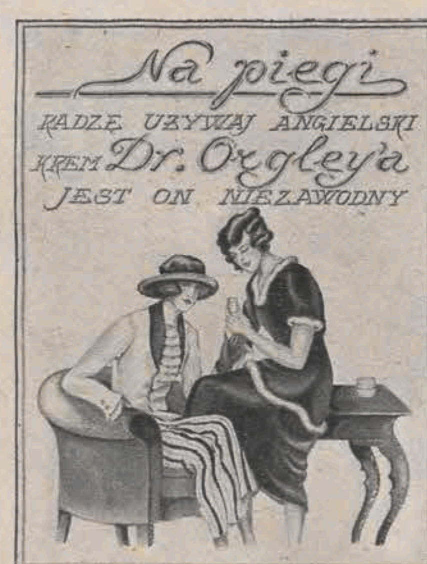
„PERFECTION"

WARSZAWA, SZPITALNA 10. TEL. 124-94

WŁAŚCICIEL

STEFAN PIKULSKI

Poleca
duży wybór
perfum firm:
„COTY, HOUBIGANT,
ROGER & GALLET,
LEUTHÉRIC, GUERLAIN" i innych.
Pozatem: Przeciw piegom i opaleniźnie
„KREM PRECIOZA"
Prócz tego znane od lat 30-tu
KREM, PUDER, MYDŁO,
PŁYN i OTRĄBKI.
„ABARID" do pielęgnowania cery.







TŁOCZNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO, WARSZAWA.